

małocodrze

ZIELONA GÓRA 9 III 1986 — 22 III 1986 R.
ROK XXX NR 5 [610] CENA 15 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

BEZ WYJAŚNIEŃ

Regina Dachówna

Na zdjęciu w gazecie, chociaż zdjęcie czarnobiałe, wygląda pięknie. Uśmiechnięta, zwrócona w stronę towarzysza Gierka, (on też uśmiechnięty), w szpileczkach, wyróżnia się na tle innych kobiet, które wianuszkami otaczają przywódcę.

Ani pani Trudzia — „Niech pani Trudzia opisz, trzydziście lat pracowała w służbie zdrowia, wyszłaby ciekawa historia” — radzi ani ja nie możemy do patrzeć się śladu stresu w tym jej uśmiechu.

Pani Trudzia na chwilę wpadła do biura, wiedziała, że otwarte chociaż wolna sobota, spojrziała na stos pożytków gazet — „że też chce ci się trzymać takie starocie” — powiedziała, ale zaraz pojechała, że chyba też by trzymała, gdyby w tych gazetach były zdjęcia a na tych zdjęciach ona. I to w jakim towarzystwie!

Towarzystwo zmieniało się, to widać, inne było przed dwadziestu paru laty, inne przed siedmiu.

Pierwszy z brzegu, uśmiechnięty, to były wicepremier Pyka, za nim stoi były minister Kowalik, ten z tyłu — on też się uśmiecha — to minister Olszowski.

A na pierwszym planie ona, Janina Chlebowska — i towarzysz Gierka.

Pani Trudzia chwali sukienkę ze zdjęć a Janina Chlebowska zaraz dodaje: — Nigdy więcej tej cholery nie włożyłam, nigdy też od tamtego czasu nie szylam sobie nic niebieskiego. Z niebieskim skończyłam w KC.

W 1978 roku, z okazji Dnia Handlowca, miała przemawiać przed towarzyszem Gierkiem Wiedziela, będąc dziennikarzem, będzie telewizją, będą najwyższe władze, więc nie tylko musi mądrze mówić ale i jakoś wyglądać.

Specjalnie uszyła niebieską kreację, zrobiła fryzurę, włożyła futerko z nut rii i w drodze z Domu Chłopa do KC, na Brackiej właśnie, tuż obok niej, auto bus wjechał z rozpędem w kałużę. Zamarla z przerażenia. Z futerka, z sukienki, z włosów spływały strugi brudnej wody.

Za dwadzieścia minut miała przemawiać.

Sluchacze chwalili potem jej wystąpienie, handlowcy gratulowali, życzliwi uprzedzali:

— Będziesz mieć kłopoty.

Podczas takich wystąpień nie mówi się przecież o trudnościach, o brakach, o sprawach przykrych, a ona, niestety, mówiła. Przywódca był trochę zdziwiony, podziękował jednak za uwagi, wówczas po raz pierwszy pomyślała: „On nie zna prawdy, nie wie, jak jest w handlu. Dlaczego nie wie?”

Trzeba przyznać, że wtedy jeszcze nie było tak źle. W roku 1978 a nawet i w 1979 z wrocławskiego „Polaru” do Zielonej Góry przyjeżdżał dyrektor Libold i prosił: — Weźcie z tysiąc lodówek: dyrektor z Kamiennej Góry wręczył blagat: — Mamy stopy lnianych tkanin, chociaż trochę weźcie; a znowu dyrektorzy jarosławskiego „Jarlanu” upychali swoje wyroby dziewiarskie.

Brała wszystko, być może wiedziała instynktowo. Poza tym jako dyrektor olbrzymiego przedsiębiorstwa handlowego żyła w pewnym komfortie — już miała gdzie złożyć tę górę towarów.

Rok wcześniej z wielką pompą, uroczystie, przedsiębiorstwo otwierało nową bazę magazynowo-składową, obiekt o powierzchni dwu tysięcy metrów kwadratowych.

Ta baza, jej budowa straszyla Janinę Chlebowską w snach. Zle sny można było jednak odpędzić rannymi wizytami na placu budowy. Rozglądała się uważnie.

— Chwała Bogu, nie ma przestojów — stwierdzała z ulgą. Budowlani pracowali. Kable są? Sa. Cement jest? Jest. A wapno? Zabrakło wapna, lepiu i czegoś tam jeszcze.

Jechała do biura i już wiedziała od czego zaczynać urzędowanie. Od telefonów i załatwiania.

W końcu te niepokoje, te stresy zostały zrehabilitowane. Na otwarcie obiektu mogła spokojnie zaprosić ministrów, wice ministrów a nawet samego wicepremiera Pykę.

Przyjechali wszyscy.

I dzięki temu dzisiaj, w jesienną, smutną, pokrzyśową sobotę, możemy jeszcze raz posłuchać wystąpienia wicepremiera. Trzeba sobie tylko wyobrazić, że to piętnasty maja 1977 roku, a więc jest słonecznie, w nowym obiekcie są już pracownicy przedsiębiorstwa. Uśmiechnięci, odświeżeni ubrani, stoją i czekają co powie wicepremier.

Janina Chlebowska włącza magnetofon, przez pustą korytarze Urzędu Wojewódzkiego niesie się śmiech, słychać brawa, słychać dźwięk szkła, przemawia były wicepremier Pyka: — „Szanowni towarzysze, panie i panowie! W myśl dobrych polskich obyczajów po tych odznaczeniach (przed chwilą właśnie były odznaczenia) pewnie będzie jakiś toast. Tak? (Tu pani Chlebowska zapewnia, że będzie, bo przecież trunki były już rozlane, kielichy przygotowane, wszystko stało na tacach, ludziom jednak nie można było wcześniej dać tych kielichów, bo mieliby ręce zajęte, no to jakby wtedy klaskali? A chodziło także o to, żeby mogli swobodnie klaskać). Ponieważ jeszcze nie naszykowali — ciągnie rozbawiony wicepremier, to powie dzieli, żeby przemówili.

Znow śmiech i brawa.

Gość wyjaśnia dalej powód, dla którego tak liczna grupa ministrów przyjechała do Zielonej Góry. Otóż ministrowie („Przyjechało bardzo dużo wice ministrów, ja nawet nie miałbym czasu, żeby ich wszystkich wymienić...”) przybyli na otwarcie bazy handlowo-magazy nowej. Wicepremier zapewnia na tasmie: — „My wiemy, jakie macie kłopoty w waszej codziennej pracy, my w tych kłopotach stoimy po waszej stronie”, mówi, że zapatrzenie to nie tylko problem społeczny ale i ogromny problem polityczny, że oświadczyć darzy ogromną sympatią władze wojewódzkie a na koniec wznosi toast „Za zdrowie pięknych pań”.

Wystąpienie podoba się, znow słychać brawa; śmiech, dźwięk szkła.

Trzask magnetofonu, skończyła się taśma.

Janina Chlebowska zapala papierosa. Nie lubi wracać do tamtych dni, chociaż to były dni wspaniałe. Ale zaraz po nich przyszły inne.

— ☆ —

Wiele lat pracowała w administracji, zawsze zajmowała się handlem, awansowała; była referentem, starszym referentem, kierownikiem wydziału, w końcu zastępcą dyrektora Wydziału Handlu Urzędu Wojewódzkiego. Właśnie miała obchodzić piętnastoletnie pracy w Urzędzie Wojewódzkim, gdy przyszła ta propozycja a właściwie polecenie partyjne.

Przez kraj płynęła fala reorganizacji. Powstawały nowe województwa, znikały powiaty, rodziły się kombinaty-giganty, to wszystko na polecenia odgórne, no, a w handlu właśnie buty łączyły się z odzieżą.

I tym nowym tworem miała kierować ona.

— Dlaczego akurat ja? — usiłowała bronić się przed awansem. Owcześnie wojewoda odpowiedział: — Bo dyrektor Bujak (odzież) nie chce być dyrektorem w połączonym przedsiębiorstwie.



Dorota Frackowiak-Kapala: „Kobieta, czy to pianistka, czy sekretarka, czy dyrektorka, zawsze jest to trudniejsza sytuacja niż mężczyźna” (cyt. str. 6)

Przed X Zjazdem PZPR

Kryzys reformy?

(Artykuł dyskusyjny)

Aleksander Kapustka

Od kilku lat trwa przebudowa funkcjonowania gospodarki w naszym kraju. Zapoczątkowała ją szeroka debata w latach 1980-1981, nadając jej formalne ramy przyjęte w „kierunkach reformy gospodarczej”, które następnie zaaprobowane przez IX Zjazd Partii — uzyskały prawne podstawy jej wdrażania poprzez przyjęcie przez Sejm i Rząd PRL szeregu ustaw i przepisów wykonawczych.

Do tej dyskusji włączyli się niemal wszystkie organizacje społeczne i polityczne. Wniosły one swój istotny wkład w tworzenie „nowego ładu” organizacyjno-ekonomicznego w naszym państwie poprzez uczestnictwo w zespółach i komisjach d/s reformy gospodarczej, bądź też opracowując własne raporty i propozycje sanacji gospodarki PRL, lub też zgłaszając uwagi i propozycje ewentualnych zmian i modyfikacji.

Minęło prawie pięć lat od tej społecznej debaty nad stanem naszej gospodarki i metodami jej usprawniania. W tym okresie zaszło wiele zmian społecznych, gospodarczych a nawet i politycznych. Z wielkim trudem i z dużymi oporami rozpoczęto wdrażać niektóre elementy reformy gospodarczej nakreślone w „kierunkach docelowych”. Z perspektywy czasu bezspornie można powiedzieć, że było to możliwe dzięki

ki determinacji władz politycznych i administracyjnych naszego kraju — bowiem początek reformowania naszej gospodarki przypadł w najtrudniejszym okresie historii PRL.

Złożona sytuacja społeczna, gospodarcza i polityczna lat 1982-1984 nie pozwoliła na pełne wdrożenie reformy gospodarczej, mimo przyjęcia pierwotnie trzyletniego okresu dojścia do rozwiązań docelowych. W roku 1982 przyjęto jednak już 9 ustaw, które łącznie z uprzednio dwoma ustawami przyjętymi we wrześniu 1981 r. — stanowiły tzw. — „konstytucję gospodarczą”.

Stworzono prawne podstawy do wdrażania reformy gospodarczej — mimo że warunki jej realizacji były wyjątkowo skomplikowane. Można więc byłoby sądzić, że regulacje prawne utorują i pozwolą na lepsze przebieganie zapoczątkowanych reform, o których tyle było

dyskusji, tyle rozbudzonych nadziei. Czy nadzieje te spełniły się i czy wykorzystano tę szansę?

Sądzę, że na tak postawione pytanie odpowiedź z perspektywy tych kilku lat musi być negatywna. Złożyło się na to szereg przyczyn:

Po pierwsze: Nie wykorzystano do statecznym stopniu społecznej aktywności na rzecz poparcia wprowadzanych reform gospodarczych. Zawieszając generalnie funkcjonowanie samorządów załóg, mianując odgórnie wielu dyrektorów bez konkursu, a nawet bez konsultacji z aktywnym społeczno-politycznym w przedsiębiorstwie — podważano zaufanie do samodzielności i samorządności przedsiębiorstwa — jako podstawowej jednostki narodowej.

Po drugie: Pod płaszczykiem „załatwiania spraw doraźnych” w formie programów operacyjnych — powstały de facto organizacje utrwalające nakazowo — rozdzielały system zarządzania gospodarką.

Po pierwszych miesiącach stanu wojennego — jak grzyby po deszczu odradzały się „instytucje” pełnomocników resortowych oraz do spraw układów wyodrębnionych itp., zrzeszenia obligatoryjne, centrale rozdziałające obligatoryjnie materiały itp. Wracały „stare”, ale za to dobrze wypraktykowane” formy zarządzania gospodarką, które doprowadziły kraj do kryzysu gospodarczego w latach 70-tych.

Po trzecie: Nie stworzono systemu motywacyjnego, a procesy cenowe spowodowały wzrost spirali cenowo-płacowej. Po podwyżce cen artykułów spożywczych z 1 lutego 1982 r. i galopującej zwwyżce cen pozostałych artykułów oraz

Ciąg dalszy na str. 4

Ciąg dalszy na str. 5

Opinie i refleksje

O pokojowy kształt przyszłości

Cała prasa światowa podkreśla, że XXVII Zjazd KPZR będzie miał historyczne znaczenie dla dalszego rozwoju Związku Radzieckiego, a podjęte na nim decyzje wpłyną także decydująco na ukształtowanie się sytuacji międzynarodowej. W opinii komentatorów amerykańskich Zjazd ten należy do najważniejszych wydarzeń dla stosunków Wschód-Zachód. „Rezultaty Zjazdu” nowy program rozwoju społeczno-gospodarczego oraz uchwały dotyczące polityki zagranicznej ZSRR będą miały zasadniczy wpływ na kształtowanie się stosunków Wschód-Zachód — stwierdził komentator czołowego amerykańskiego koncernu telewizyjnego CBS.

Wszyscy obserwatorzy polityczni podkreślają przede wszystkim ten moment, że Michaił Gorbaczow wskazał na niezbędną konieczność powrotu w sprawach międzynarodowych do polityki dialogu i odprężenia oraz przestrzegania zasad pokojowego współistnienia. Przy okazji prasa światowa poświęca wiele uwagi postaci przywódcy radzieckiego, podkreślając jego wybitną indywidualność, jako wywierającego duży wpływ na kierunek polityki ZSRR i ogólny obraz życia międzynarodowego. Energii i silną wolę radzieckiego przywódcy podkreśla także francuska agencja AFP. Zwraca ona uwagę, że na Zachodzie zaskarbił on sobie opinię gorącego zwolennika pokojowego współistnienia, człowieka nowoczesnego, gotowego do dialogu, zdecydowanego przeciwnika wyścigu zbrojeń.

Z trybuny Zjazdu KPZR usłyszeliśmy, że przemiany we współczesnym rozwoju międzynarodowym są tak głębokie i znaczące, iż wymagają ponownego przemyślenia oraz kompleksowego przeanalizowania wszystkich jego aspektów. Współczesny świat jest bowiem złożony, różnorodny, dynamiczny, pełen przeciwnych tendencji i sprzeczności. Jest to świat skomplikowanych alternatyw, niepokojów i nadziei. Nigdy przedtem — powiedziano na Zjeździe — nasz ziemski dom nie był poddany takim przeobrażeniom politycznym i ideologicznym.

XXVII Zjazd KPZR otwiera przed nami najbardziej dramatyczny problem naszych czasów: czy ludzkość zdoła uwolnić się od narzuconego przez imperializm zagrożenia nuklearnego, czy też goręć wojnie polityka konfrontacji, prowadząca do zwiększenia prawdopodobieństwa wybuchu konfliktu atomowego. Taki bowiem właśnie jest świat, w którym żyjemy przy końcu obecnego i u progu następnego stulecia. Świat pełen nadziei, gdyż między przedtem ludzkie nie były tak wszechstronnie wyposażone do dalszego rozwoju cywilizacji. Ale jest to również świat obciążony niebezpieczeństwami i sprzecznościami, skłaniający do tego, aby mówić o najniebezpieczniejszym niemal okresie w historii ludzkości.

Jesteśmy świadkami skoku jakościowego w sferach wytwórczych. Ale także skoku jakościowego w sferach niszczenia. W związku z tym, że stanowią to zagrożenie nie dla samego istnienia naszego gatunku — polityka konfrontacji militarnej nie ma przyszłości. Muszą to sobie uświadomić w Waszyngtonie, rezygnując w pierwszym rzędzie z najbardziej niebezpiecznej koncepcji, jaką jest program tzw. wojen gwiezdnych. USA już włączyły do tego programu wielostronny sojusz. Sprawa może przybrać charakter niedowierzania; dla tego też konieczne jest wyszukanie już dziś realnego rozwiązania, które zabezpieczyłoby przed przeniesieniem wyścigu zbrojeń w kosmos. Kierownictwo USA powinny zrozumieć, że nigdy nie uda im się osiągnąć przewagi militarnej nad Związkiem Radzieckim. Nie można w dzisiejszej epoce wygrać wyścigu zbrojeń, podobnie jak nie można wygrać samej wojny nuklearnej.

Obecny poziom równowagi potencjałów nuklearnych, stojących naprzeciwko siebie stron jest niewspółmiernie wysoki. Jak powiedział Michaił Gorbaczow — nie razie zapewnią on każdej z tych stron „równie niebezpieczeństwo”. Chodzi zaś o to, by zapewnić równie bezpieczeństwo. I aby nie było żadnych niedomówień, przywódca radziecki dodał: „ZSRR nie pretenduje do większego bezpieczeństwa, ale na mniejsze się nie zgodzi”.

Nie ulega wątpliwości, że kontynuowanie wyścigu zbrojeń nuklearnych zwiększyloby jedynie to „równie niebezpieczeństwo” i mogłoby doprowadzić je do takich granic, że wydarzenia wymknęłyby się spod kontroli. Trzeba więc — zgodnie z tym co proponuje Związek Radziecki i pozostałe kraje wspólnoty socjalistycznej — przede wszystkim znacznie obniżyć obecny poziom konfrontacji militarnej. Takim programowi — jak stwierdził z trybuny XXVII Zjazdu KPZR gen. Wojciech Jaruzelski — udzieliła oczywiście pełnego poparcia również Polska Ludowa, dążąca szczególnie aktywnie i podejmująca w tej dziedzinie wiele doniosłych inicjatyw.

We współczesnej sytuacji międzynarodowej nie ma bowiem alternatywy dla współpracy i współdziałania wszystkich państw i narodów. Taki jest podstawowy wniosek wypływający z obrad XXVII Zjazdu KPZR, którego naczelna dewiza stała się troską o pokojowy kształt przyszłości świata.

MICHAŁ HOROWICZ

Rok X Zjazdu

Propozycja ciężkiej pracy

Co trapi zielonogórskich kapitanów produkcji? Bez zastanowienia powiadają, że braki surowcowe, puste etaty na zajęcie których nie ma chętnych, niesprawną kooperacją, nadal niska, choć rosnąca wydajność pracy.

Co trapi kupujących? Galopująca inflacja, prawie pełne półki sklepowe z których nie ma co kupować, niska jakość towarów, rodzących pytanie, dlaczego, jako producenci godzimy się na czyste marnotrawstwo deficytowych podobno surowców: wełny, bawełny, skóry, metali, paliw?

Zielonogórskich polityk strapił jest również. Martwią go patologie społeczne, woluntaryzm w najrozmaitszych sferach usług, nieposzanowanie mienia społecznego, ogólny brak dyscypliny, nade wszystko zaś, przejawiany ze strony jednostek i grup społecznych brak energii w pokonywaniu subiektywnych, życiowych trudności, niechęć do działania, apatia. Polityk dochodzi do wniosku, że możliwości są ogromne, problemem jest tylko ukierunkowanie ich na rynek, paliw?

Zaodra

Przed XI Zjazdem NSPJ

W kwietniu br. odbędzie się XI Zjazd Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności. Wybór tego właśnie terminu nie jest bynajmniej przypadkowy. W kwietniu 1986 przypada bowiem 40 rocznica powstania NSPJ (dawniej — SED). 3 kwietnia 1946 roku na uroczystym zjeździe ukończyła się misja Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności — SED.

Powstała ona w wyniku zjednoczenia działających w ówczesnej radzieckiej strefie okupacyjnej — obejmującej dzisiejsze terytorium NRD — Komunistycznej Partii Niemiec (KPD) oraz Partii Socjal-Demokratycznej (SPD). Przewodniczącym KPD był Wilhelm Pieck, a SPD — Otto Grotewohl. SED była pierwszą zjednoczoną partią klas robotniczej, jaka powstała w krajach Europy Wschodniej, które wkroczyły na drogę postępowych przeobrażeń społeczno-politycznych, otwierających drogę budownictwu socjalistycznemu.

Obecnie, po wyborach w POP odbywających się przedzjazdowe konferencje NSPJ, jak wynika z opublikowanego w NEUES DEUTSCHLAND komunikatu sekretariatu NSPJ, poświęconego kampanii wyborczej w partii, uczestniczyło w niej 95 procent a w skali dobowych konferencji nawet 98,9 procent. 1.440 tys. członków partii — o 240 tys. więcej, niż podczas poprzednich, prowadzonych w konstruktynym duchu.

Przedłożyli oni ok. 400 tys. wniosków zmierzających do dalszego doskonalenia działalności partyjnej i społecznej oraz organów administracji państwowej i samorządowej.

O aktywności społecznej członków NSPJ świadczy fakt, że 590 tys. działa aktywnie w związkach zawodowych, 133 tys. pełni funkcje radnych na różnych szczeblach, 270 tys. czynnych jest jako lektorzy szkolenia partyjnego, 185 tys. aktywnie uczestniczy w pracach organizacji młodzieżowej (FSJ) a 166 tys. w ogniwach Frontu Narodowego.

Jest to dobitnym świadectwem, że oprócz poważnego dorobku gospodarczego i kulturalnego kraju, jaki NSPJ reprezentuje na swym XI Zjeździe — partia przechodzi na ten Zjazd silną jednością i zaangażowaniem swych członków.

Wzrost dochodu narodowego

W planie gospodarki narodowej NRD na 1986 r. zakłada się utrzymanie dynamiki wzrostu dochodu narodowego z lat 1984-1985. Przewiduje się również utrzymanie wzrostu produkcji przemysłowej na poziomie osiągniętym w ub.r. Plan na 1986 r. zakłada przede wszystkim wszechstronną intensyfikację rozwoju gospodarczego, głównie poprzez wdrażanie postępu naukowo-technicznego, lepsze wykorzystanie energii, surowców i materiałów. Przewiduje się, że dzięki temu postępowi nastąpi obniżenie kosztów własnych o 2,2 proc. oraz kosztów materiałów o 2,4 proc. na każde 100 marek wartości produkcji.

pozytywna przekształcenia rzeczywistości. Bo rzecz w tym, że oprócz objaśniania świata — sztuka ta została opanowana doskonale — trzeba go jeszcze zmieniać. Jak?

Życie bez perspektywy na przyszłość, takie z dnia na dzień, jest trudne, rodzi zobojętnienie, ucieczkę od rzeczywistości. Projekt Programu Polskiej Zje-

Z REGIONU

dnoczonej Partii Robotniczej, nad którą obecnie dyskutują organizacje partyjne, jeśli pozyska rozległy rezonans społeczny zachęcający do aktywności, może być katalizatorem daleko idących zmian na lepsze.

Dziś rzeczywistość skrzeczy.

Dziś mówić, że za czerstawością lat, co przy temple życia nie jest noryzorem poza indywidualnym doświadczeniem, osiągnięciem indywidualnym wzrost konsumpcji rządu — pięćdziesięciu procent, wzrost dochodu narodowego o 75 procent, przy wzroście społecznej wydajności pracy o 60, 70 procent, takie postawienie sprawy, jest aktem odwagi. W rozpisaniu na szczegóły, znaczy to budowę 4 milionów mieszkań, ogólną elektroniczną życia codziennego,

Wybory do IRCh (ABI)

W NRD rozpoczęły się wybory do komisji i komitetów kontrolnych inspekcji robotniczo-chłopskiej (ABI), które potrwać do 10 marca. Obecnie inspekcja liczy 250 tys. członków skupionych w 19.778 komisjach na terenie przedsiębiorstw, spółdzielni oraz w 964 komitetach kontrolnych działających na terenie gmin i miast. ABI jako społeczno-państwowy organ kontrolny powstał w 1963 r. i jego głównym zadaniem wspólnie z innymi instancjami jest kontrola realizacji zadań planu oraz zgodność z przepisami prawnymi.

Renesans Bismarcka?

Centralne dzienniki NRD wiele uwagi poświęcają problematyce historii niemieckiej i Rzeszy niemieckiej w związku z 115 rocznicą utworzenia Rzeszy niemieckiej. Miało to miejsce — jak się przypominia — 18 stycznia 1871 r. w Wersalu, kiedy to król pruski Wilhelm I obwołany został cesarzem niemieckim.

Z okazji rocznicy ponownie zwraca się szczególną uwagę na Bismarcka, który po Lutrze i Fryderyku II uważa się za największą postać w historii niemieckiej. W odpowiedzi na pytania: „Czyżył renesans Bismarcka?”, zwraca się uwagę, że wprawdzie już przed 20 laty mówiono w NRD o żelaznym kanclerzu, ale tylko jako o przeciwniku ruchu robotniczego. Dzisiaj — akcentuje prasa — mówi się, że Bismarck był jednym z najbardziej reakcyjnych kanclerzy, ale stworzył podwaliny dla dalszego rozwoju historii niemieckiej.

Bismarck zdecydowanie bronił praw narodu niemieckiego i jego zasługą jest utworzenie Rzeszy niemieckiej. Był on po stronie interesów burżuazji, ale był politykiem, który trzeźwo mógł ocenić historyczną potrzebę z punktu widzenia racji stanu narodu niemieckiego. Z tego względu był też przeciwnikiem państw ościennych, jak Dania, Austria i Francja, które nie były przychylnie niemieckiej racji stanu. Głosił, że nie samymi słowami i wielkimi ustawami można rozwiązać problemy ówczesnego świata, ale też żelazem i krwią. Jak podkreśla prasa, zainteresowanie historią NRD problematyką powstania Rzeszy niemieckiej, ściśle związane jest z jej założycielem — starym Prusakim.

Mistrzynie kształci mistrzów

Mistrzynie szachowe NRD — Marion Heintze — jest z zawodu ekonomistką, specjalistką w sprawach finansowych. Już jako dziewięcioletnia dziewczynka zaczęła grać w szachy. Po kilku latach, w 1972 r. zdobyła tytuł mistrzyni na krajowej liście juniorów. W 1977 r. zdobyła tytuł wicemistrzyni Niemieckiej Republiki Demokratycznej, a dwa lata temu zwyciężyła w międzynarodowym turnieju kobiet.

Marion Heintze pracuje teraz zawodem w Berlinie. W czasie wolnym od pracy opiekuje się grupą utalentowanej młodzieży rozmawianej w szachach. Jedną z jej uczennic — Antje Riedel — zdobyła niedawno tytuł mistrzyni NRD w klasie juniorów.

przełom telekomunikacyjny. Realizacja takiego programu przybliżałaby Polskę rzeczywistości, do dzisiejszych standardów cechujących najbardziej rozwinięte kraje świata, w sytuacji wewnętrznej zaś, byłoby to dowód na wyższość socjalizmu, komunikatywny dla każdego Polaka. Realizacja założeń programu partii byłaby rozładowaniem polskich marzeń o samochodach, magnetowidach, kasetach video.

W zderzeniu z rzeczywistością, wizja Polski pewnowowskiej, może wyglądać na próbę oszalecia. Złazsca na te obecnych doświadczeń Polskiej Wsi. Zastal — gdzie oprócz wagonów produkuję się inwalidów, Zakładów Odlewniczych w Szprotawie — gdzie z powodu technologii, warunków pracy, czas zatrudnienia liczyć się winien podwójnie, jak w tropikach.

Jednak optymistyczny program działania jest nam, wszystkim Polakom, niesłychanie potrzebny. Złazsca, że jest to program wynikający z realnych możliwości, w kontekście uwarunkowań społecznych, technicznych, materialnych a nawet międzynarodowych. Komitet Centralny, twórca „Projektu Programu” stawiając cele, które powinny i mogą porwać społeczeństwo, na drodze do ich realizacji, widzi konieczności, jakimi są: zasadniczy przełom w organizacji procesu produkcyjnego i zarządzania gospodarką, bieżące wdrażanie osiągnięć nauki, usprawnianie zarządza-

Zalaba

Bezrobocie coraz większe

W noworocznej ankiecie magazynu STERN padło między innymi pytanie o przewidywanie przez obywateli Republiki Federalnej rozwoju sytuacji na rynku pracy. 7 procent ankietowanych wyraziło nadzieję, że bezrobocie w nadchodzącym roku ulegnie zmniejszeniu, 17 procent przewidywało jego dalszy wzrost, a 67 procent założyło, iż „nie wiele się zmieni”. Nie tylko ta ankiet, ale i opinie ekspertów wskazują, że bezrobocie, które w 1985 r. dotknęło 2,3 mln osób, pozostanie w najbliższym czasie główną plagą społeczno-gospodarczą w RFN. Nic nie wroży zmiany w tej dziedzinie. Kanclerz Konl w noworocznym przemówieniu mówił, że stworzenie nowych (przebieżystym dla młodych roczników) i zabezpieczenie istniejących miejsc pracy pozostanie również w 1986 r. naszym najważniejszym politycznym zadaniem. O przewidywaniu pracy tym milionem, które już utraciły, a więc o zwalczaniu bezrobocia w jego zasadniczym sensie, mo- wy nie było. Skomentował to szef frakcji parlamentarnej socjaldemokratów H. J. Vogel w artykule prasowym następująco: „Republika Federalna jest dostatecznie zamożna, aby bezrobocie przynajmniej odczuwalnie zmniejszyć. Nie brakuje po temu ani finansowej, ani gospodarczej mocy; brakuje politycznej woli kanclerza i jego rządzącej koalicji, aby określić zwalczanie bezrobocia, jako społeczne zadanie o najwyższym priorytecie”. Vogel przestrzegł przed powstaniem „dwuczęściowego społeczeństwa, w którym dobrobyt jednej części okupiony zostanie biedą i brakiem perspektyw dla innej części”. Ilustracją tym wypowiedzi są niektóre dane ogłoszone ostatnio w RFN. Wynika z nich, że w całej Republice Federalnej było w ostatnim roku bez pracy aż 60 tys. nauczycieli, ale równocześnie przykładowo w Północnej Nadrenii-Westfalii brak było 13 tys. nauczycieli wskutek nieprzypięcia środków na ich opłacenie przez władze, przy 18 tys. bezrobotnych nauczycielach w tym kraju. Według ostrych statystyk w ub. roku bez pracy było 140.000 absolwentów wyższych uczelni, a wielu magistrów przyjęło pracę nocnych portierów, robotników magazynowych, służących itd. Ocenia się, że pracy w swoim zawodzie szuka 1.300 biologów, ponad 10 tys. inżynierów i naukowców, 5 tys. lekarzy. Władze służby zdrowia oceniają, iż na 12 tys. absolwentów wyższych szkół medycznych będzie można zatrudnić tylko 5,5 tys. i to przeważnie jako lekarski personel pomocniczy.

Bundeswehra trwa przy swoim

Mimo opracowania w ostatnich latach licznych strategii alternatywnych, jako podstawy działania wojsk NATO w przypadku konfliktu zbrojnego, koncepcja militarnej Bundeswehry przewidywała nadal tzw. „ideę obrony na wysuniętym przedpolu”, co nie oznacza niczego innego, jak tylko dążenie do przetrwania państwa socjalistycznego, tj. w pierwszym rzędzie Niemieckiej Republiki Demokratycznej, CSRS i Polski.

nia państwem. Komputeryzacja, automatyzacja, robotyzacja, są to słowa, które dziś mają charakter zaklęcia. A przecież mają być rzeczywistością bliskich nam lat.

Projekt Programu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej jest dla Polaków propozycją ciężkiej pracy, efektywnej i racjonalnej. Komitet Centralny stawia sprawę jasno — „socjalistyczna Polska przełomu XX i XXI wieku będzie taka, jaką zbudują obecne, przede wszystkim młode pokolenia Polaków. Ci, którzy dzisiaj zdobywają wiedzę i pierwsze doświadczenia, rozpoczynają działalność zawodową, jutro rozstrzygać będą o przyszłości narodu i jego państwa, o kształcie życia społecznego. Partia przywiązuje szczególną wagę do przekazania im całego zasobu historycznych doświadczeń, jako niezbędnego tworzywa w formowaniu wspólczesnych wyobrażeń o socjalistycznej Polsce i swoich wobec niej powinnościach”.

Komitet Centralny PZPR stwierdza: „Partia będzie wspierać dążenia i aspiracje młodych pokoleń do życia aktywnego, twórczego, wybiegającego w przyszłość. Uznaje ona za normalne, iż młode pokolenia chcą żyć lepiej i pełniej, pragną, aby życie było barwne i ciekawe a kraj, w którym osiągną wiek dojrzały, był mądrzej rządzony i lepiej wyposażony”.

RYSZARD ROWIŃSKI

Jak pisał „Hannoversche Allgemeine Zeitung” — strategię „obrony na wysuniętym przedpolu”, faworyzuje się świadomie, gdyż jest ona — jak się podkreśla — nie tylko sprawą sojuszu (tj. NATO), ale „sprawą narodową”. Wskazując 900 km granicy z państwami Układu Warszawskiego, stacjonuje 9 korpusów z 8 państw członkowskich Paku Północno-Atlantyckiego. Największą część tych sił — bo ponad 50 procent — stanowią właśnie oddziały Bundeswehry. Strategia tego Paku przewiduje, iż nawet w przypadku wojny rozpoczętej środkami konwencjonalnymi NATO zastrzega sobie osiągnięcie do broni atomowej. Oznacza to uwzględnienie od samego początku ryzyka wojny nuklearnej. Przy tej koncepcji posłużenia się w wypadku konfliktu w Europie od razu bronią atomową — trwa właśnie dowództwo Bundeswehry.

W obliczu nadziei wywołanych spotkaniem Reagan-Gorbaczow i propozycji rozbrojenia przywódcy radzieckiego jest to tendencja szczególnie niebezpieczna.

Dziewczyny do woja!

Organizacja młodzieżowa Partii Wolnych Demokratów podjęła uchwałę o powoływaniu dziewcząt do służby w Bundeswehrze. Wniosek zgłoszono zapewne z inspiracji niektórych generałów obawiających się, że w latach dziewięćdziesiątych do służby wojskowej powoływane będą „słabsze roczniki” młodzieży męskiej. Wniosek spotkał się z niejednołitą reakcją. W kołach lewicowych przypomina się, że Konstytucja RFN wyraźnie zabrania angażowania kobiet do służby z bronią w ręku. Również niektóre kółka rządzącej partii wypowiedziały się krytycznie o inicjatywie młodych z FDP.

Należy jednak pamiętać, że te głosy nie zdejma z porządku dziennego problemu raz oficjalnie podniesionego. Jakby nie potraktoowano tego „balonu próbnego” spodziewać się można, że o obowiązkowej służbie wojskowej dziewcząt w Bundeswehrze usłyszymy w przyszłości jeszcze nie jeden raz.

Jubileusz

wydawnictwa FV

Jedno z największych i najbardziej znanych wydawnictw zachodniemieckich „S. Fischer Verlag” obchodzi swoje 100-lecie. Z tej okazji zorganizowana została w Morbach wystawa ukazująca dzieło oficyny, jak i jej dorobek, zwłaszcza na polu edycji literatury pięknej — niemieckiej i obcej, klasycznej i współczesnej. Katalog tej wystawy ma prawie 800 stron! Ekspozycja ukazuje początki wydawnictwa, jego rozkwit w latach dwudziestych, następnie działalność na emigracji (najpierw w Austrii, potem w Szwecji, w końcu zaś w Stanach Zjednoczonych). Do opuszczenia Niemiec właściciel wydawnictwa był zmuszony przez hitlerowskie „ustawodawstwo rasowe”.



3 x LUNIEWICZ

Czesław Luniewicz jest artystą fotografikiem i nauczycielem. W ubiegłym roku w salach muzealnych prezentował swoją wystawę pt. „Moje współczesności”, w tym roku jego uczniowie w salonie Klubu MPiK pokazali swoje prace. Wcześniej wielokrotnie wychowankowie Luniewicza, skupieni w grupach „Nadodrza” i „Łużyce”, organizowali wystawy zbiorowe. Sądzę, że gdyby nie aktywność twórcza i pedagogiczna Luniewicza, oglądaliśmy w Zielonej Górze jedynie doroczne wystawy fotograficzne Lubuskiego Towarzystwa Fotograficznego. Jest inaczej, i chwała Luniewiczowi. W lutym tego roku artysta był trzykrotnym bohaterem, bowiem przygotował aż trzy ekspozycje, dwie z nich przyjęte z ogromnym zainteresowaniem, trzecia... o niej na końcu.

I

„Moje miasto, moja ojczyzna” to tytuł wystawy zorganizowanej w Muzeum Ziemi Lubuskiej, na której Luniewicz pokazał blisko 200 czarno-białych zdjęć. Od początku swoich związków z Zieloną Górą Luniewicz jest tam, gdzie ruiny i budują, przy pomocy aparatu fotograficznego towarzyszy rozwojowi miasta, notuje jego wygląd zewnętrzny, świąteczny i codzienny, ludzi, uczestniczy we wszystkich wydarzeniach politycznych i kulturalnych. Na wystawie w Muzeum zgromadził te prace, które ukazują stolicę środkowego Nadodrza zaraz po wojnie i dziś. W pierwszej sali pokazał secesyjne kamieńskie wokół zabitego ratusza, potrafiąc wydobyć to, co jest najciekawsze, często więcej niż dostrzegają nasze oczy. W drugiej widziemy dwie Zielone Góry — powiatową i wojewódzką. Mamy więc obraz miasta małego, walcącego się, parterowego. Gdyby nie prace Luniewicza, wielu nie uwierzyłoby, że Zielona Góra była kiedykolwiek podobna do Cybinki czy Zbąszynia. Po wpisaniu miasta na mapę 17 ośrodków wojewódzkich zaczął się ruch budowlany, najpierw w pobliżu centrum, potem na dzikich obrzeżach rosły nowe osiedla. I aż się wie, że nie chce, że 30-tysięczna Zielona Góra na oczach Luniewicza pogrubiała, zmniejszała, wydoroślała, stając się ponad 100-tysięcznym miastem. To wszystko jest na tej niezwykle ciekawej wystawie. Ale są i parki, nowoczesne arterie komunikacyjne, gmachy publiczne. Luniewiczowy zapis jest kronikar-

ski, precyzyjny, artysta niczego nie pokazuje przez różowe okulary, przeciwnie, obnaża braki, zapytał o gospodarkę miasta. Można się obrazić na Luniewicza, że przy okazji 41 rocznicy wyzwolenia miasta pokazuje je tak szczerze, że niczego nie ukrywa, ale on nie przesadza, on pokazuje swoje miasto takim, jakie jest i było. „Moim miastem jest Zielona Góra. Nigdy nie myślałem, aby to miasto opuścić, choć były okresy, gdy mnie nie pociągało. Najdłuższa w tym mieście jest starówka. Z nią związane są, a także, moje losy twórcze. Na deptaku miałem kilka wystaw. Zrobiono je okazale, poświęcono znaczne środki finansowe. Rozpierała mnie radość, gdy w dobrze zorganizowanej przestrzeni pokazywałem dziesiątki swoich fotografii...” — powiedział artysta.



Tę wystawę powinni obejrzeć wszyscy Lubusanie, szczególnie zielonogórzanie-pionierzy i najmłodsi. Żadna prelekcja, żadna audycja, żadna książka nie oddaje tak wizerunku Zielonej Góry, jak ekspozycja Czesława Luniewicza.

II

Z całą pewnością do najznakomitszych zielonogórzan należą Halina Lubicz i Michał Kaziów.

We wrześniu ubiegłego roku dr M. Kaziów obchodził skromnie 60 rocznicę swoich urodzin, w lutym tego roku jego opiekunka Halina Lubicz ukończyła w zdrowiu 80 rok życia. Z tych okazji Towarzystwo Przyjaciół Zielonej Góry w Salonie Wystawowym książnicy zielonogórskiej zorganizowało wystawę pt. „Michał Kaziów i Halina Lubicz — życie i twórczość”. Ekspozycja składa się z dwóch części — dokumentów i pamiątek dotyczących artystycznego i społecznego życiorysu obojga oraz fotografii w wykonaniu Czesława Luniewicza. Luniewicz, przyjaciel H. Lubicz i M. Kaziów, towarzyszy z aparatem fotograficznym obojgu od wielu lat. W 1978 r. zorganizował ekspozycję „Michał Kaziów”, na zdjęciu pokazał zmagania człowieka pozbawionego obu rąk i wzroku, zmagającego się z losem, by być człowiekiem potrzebnym, nikomu nie zawadzającym, wzorem do naśladowania. Pokazał człowieka, który przy po-

mości grona przyjaciół kończy szkołę średnią, studia, broni rozprawę doktorską, o którym pisał gazety, któremu dzieł mówią: dzień dobry. „Opracowałem twarz chłopów, robotników, pięknych kobiet, pełnych dumy z daru natury, fotografowałem specyficzne, przez nędzę ukształtowane twarze żebraków, ludzi marginesu, ale nie zdarzyło mi się stanąć przed problemem tak skomplikowanym, jaki wywołany został przez ilalię Lubicz i Michał Kaziów” — przyznał się Cz. Luniewicz. — „Stanąłem bowiem przed zadaniem, aby przez głęboki podziw dla nich ukazać niezłomną wiarę w piękno świata, prawo do szczęścia i radości, jakie ma każdy człowiek, niezależnie od tego, jak bardzo byłby zmuszony pasować się ze swoim losem. Poprzez tę wystawę natomist przyszło mi się „pasować” z utrwale-

niem w fotografii miłości do potrzebego i wartościowego życia, miłości tak wielkiej, że można ją jedynie określić jako skok ku obłokom”. Fragmenty tamtej wystawy pokazał Luniewicz obecnym, uzupełnił ją nowymi zdjęciami, jeszcze bardziej sugestywnymi. Pokazał także Halinę Lubicz aktorkę, jako Nom sen w „Meteorze” Dürrenmatta, Matkę w „Balladynie” Słowackiego, Sasiadkę w „Czarującej szewcowej” Lorki, Klimkę w „Weselu” Wyspiańskiego i wielu innych rólach scenicznych. Są to już zdjęcia archiwalne, bo, jak się rzekło, Luniewicz jest kronikarzem, dokumentalistą.

Kiedy prezydent miasta w 1978 r. wręczał Luniewiczowi klucze do pracowni fotograficznej, artysta powiedział, że zrobi wszystko, by jego nowa pracownia służyła zielonogórzanom. Tak się właśnie stało, bowiem w lutym tego roku przy pracowni Cz. Luniewicza miała zostać otwarta prywatna galeria fotograficzna. Do otwarcia jej doszło, gdy by nie sroga zima, a raczej brak ogrzewania w jego pracowni. Ale galeria jest i gdy tylko mrozy zezwala, każdy będzie mógł obejrzeć jeszcze inne dzieła artysty fotografika Czesława Luniewicza. Tu, na poddaszu przy ratuszu, artysta prezentuje fotografie abstrakcyjne. O tej wystawie w jednym z najbliższych numerów „Nadodrza”.

ALFRED SIATECKI

WOBEC LITERATURY O ZIEMIACH ODZYSKANYCH

W ostatnich dniach redakcja „Nadodrza” otrzymała niezwykle interesującą wypowiedź poznańskiego prozaika, Bogusława Koguta. Jest to — spóźniony nie z winy Autora — głos w drukowanej w 1985 roku ankiecie „Wobec literatury o Ziemiach Odzyskanych”. Wielu twórców zadaliśmy wtedy trzy pytania, które tu przypomnimy, gdyż wokół nich koncentrują się uwagi pisarza:

1. O jakie wartości artystyczne i poznawcze literatury pięknej, związane z ziemią odzyskaną, wzbogaciła dorobek polskiej literatury współczesnej?
2. Które z dzieł o tej tematyce uzyskały trwałe miejsce w kulturze narodowej i mają szansę wejścia do kanonu lektur, niezbędnych dla przyszłych pokoleń?
3. Czy wobec integracji społecznej i kulturowej całego kraju należy uznać tematyczne Ziemi Za-hodnich i Północnych za już wyczerpaną, czy też może ona nadal stanowić źródło inspiracji twórczych?

Bogusław Kogut



Dość trudna to ankietka. Kwestia (pytanie) 1 obejmuje sumę wydarzeń czy dokonań literackich, wychodzących poza tradycyjny krąg spraw literatury pięknej; w zasadzie trzeba byłoby napisać spore studium, rozpoczynając od tego, że nie tematyka dzieł jest tu właściwym obszarem dociekań, ale cały historyczny proces reorientacji polskiej myśli państwowej, najkrócej i najprościej mówiąc — od rozpychania się na wschodzie, co za Jagiellonów mogło być jeszcze jakos zrozumiałe w aspekcie tamtowiecznych układów i trendów w Europie, ale już za Wazów przybrało rozmiary (i postać) irracjonalnej i w dalszej konsekwencji samobójczej, niustającej awantury — zwrócenie się ku myśli najstarszych, koronowanych Piastów, z których nawet Mieszko II, władca niefortunny raczej, główne zadanie swego państwa widział w utrzymaniu się dziedzic zachodnich. W takim aspekcie, „licząc literaturę tematyczną”, wypadnie zaliczyć do niej nie tylko piarstwo bezpośrednio związane miejscem akcji z ziemią zwaną do dziś oficjalnie i potocznie Ziemią Odzyskaną, ale także Gołubiewa, a w szczególności Par-nickiego, którego „Tylko Beatrycze” zaważnęła moimi myślami i wyobraźnią na bardzo długo, ze względu, które trudno uzasadnić w jednym zdaniu.

Na pytanie 2 nie mogę szukać odpowiedzi, skoro najczęściej wymieniana (nie-kiedy jako jedna z moich powieści) w podręcznych leksykonach i encyklopediach książka — „Jeszcze miłość”, to właśnie „powieść tematyczną”. Zresztą nie o to tylko idzie, że sytuacja nieznajoma, ważniejsza, że moje widzenie całości spraw ziem zachodnich (raczej z literaturą tematyczną) ma swoje uwarunkowania także poza literaturą; zdziwi to być może kogoś, ale ja sam byłem oddelegowany do pracy na ziemiach zachodnich i to nie gdzie indziej, a w Zielonej Górze, przy czym muszę dodać, że moja „etatowa” obecność w Zielonej Górze trwała bardzo krótko, o czym zdecydowała konieczność dojeżdżania koleją z Poznania do Zielonej Góry, z przesiadką w Czerwińsku.

Pytanie 3 brzmi trochę zaskakująco, może dlatego, że wciąż bardziej myślę problemami niż tematami. Jednakże zostając nawet przy tematyce nie można, według mego przekonania, mówić o całkowitym jej wyczerpaniu. Przecież temat, o którym mowa, nie miał w sobie i nie ma nadal nic z mody, która wcześniej czy później dostaje zadyszki i kończy się zniknięciem. Procesy integracyjne, o jakich w pytaniu nie mówiłbym, nie zakończyły się definitywnie, chociaż dawno się skończył okres osadnictwa i podstawowego zagospodarowania. Mentalność ludzka nie zmienia się nie tylko z planu na plan, nie zmienia się także z pokolenia na pokolenie. W niektórych rejonach ziem odzyskanych skupiły się głównie dwie grupy repatriantów z Białorusi i Litwy (Wilenszczyzna), przy stosunkowo niedużym udziale imigrantów z Polski centralnej; tak było w południowo-wschodnich częściach Pomorza Środkowego, przyległych do woj. bydgoskiego, gdzieś indziej lokowali się repatrianci z Kresów południowych, przy większym udziale migrantów z „Galicji” zachodniej; to miało miejsce na Dolnym Śląsku (Wrocław, Wałbrzych, Jelenia Góra). Wszystkie te grupy przyniosły ze sobą swoje regionalne tradycje, a jeszcze swoje tradycje mieli autochtoni, których najwięcej było na Warmii i Mazurach oraz na Olsztynie. Proces integracji tych społeczności, zwłaszcza w zakresie obyczajów, kultury — trwa nadal, chociaż nie przebiega on tak dynamicznie i dramatycznie, jak to było w latach pionierskich. Sprawy te mogą być ciekawie oddziaływać inspirująco na każdego umysł twórczy, dla mnie zaś najciekawsze jest wyrastanie i utrwalanie się swoistych „patriotyzmów lokalnych” na ziemiach zachodnich.

Powyższe napisałem przed rokiem, pomiędzy jedną hospitalizacją a drugą; dlaczego nie zostało na czas wysłane, długo by tłumaczyć; ważniejsze dlaczego rzecz proponuję do publikacji teraz. Nie tylko dlatego, że skończył się doniośle kongres Stowarzyszenia „Wisła-Odra”, które jest m.in. spadkobiercą TRZZ. Ze minęła dawno rocznica powrotu tych ziem do Macierzy? 30 czerwca był będzie okrągła rocznica referendum „3 x tak”, w którym nawet legia opozycja St. Mikolajczyka idąc do urn pod hasłem „2 x tak” nie była przeciwna naszemu pójściu na zachód, broniła zasady dwuzłowego parlamentu.

Najważniejszy powód, dla którego postanowiłem napisać pismo, nie było wcale, tkwi w 106. odcinku „pamiętnikowej” pracy Piotra Kuncewicz o literaturze polskiej lat 1918-80, zatytułowanym „Wytrwali i nietrwali” w nr-ze 45 (180) PRZYGŁADU TYGODNIOWEGO, gdzie Kuncewicz używa wobec Eugeniusza Pauksty słownictwa z pogranicza obełgi — „w największym stopniu szkodliwe” (pisarstwo Pauksty — B. K.), sypie się jak piasek, leje się jak woda”.

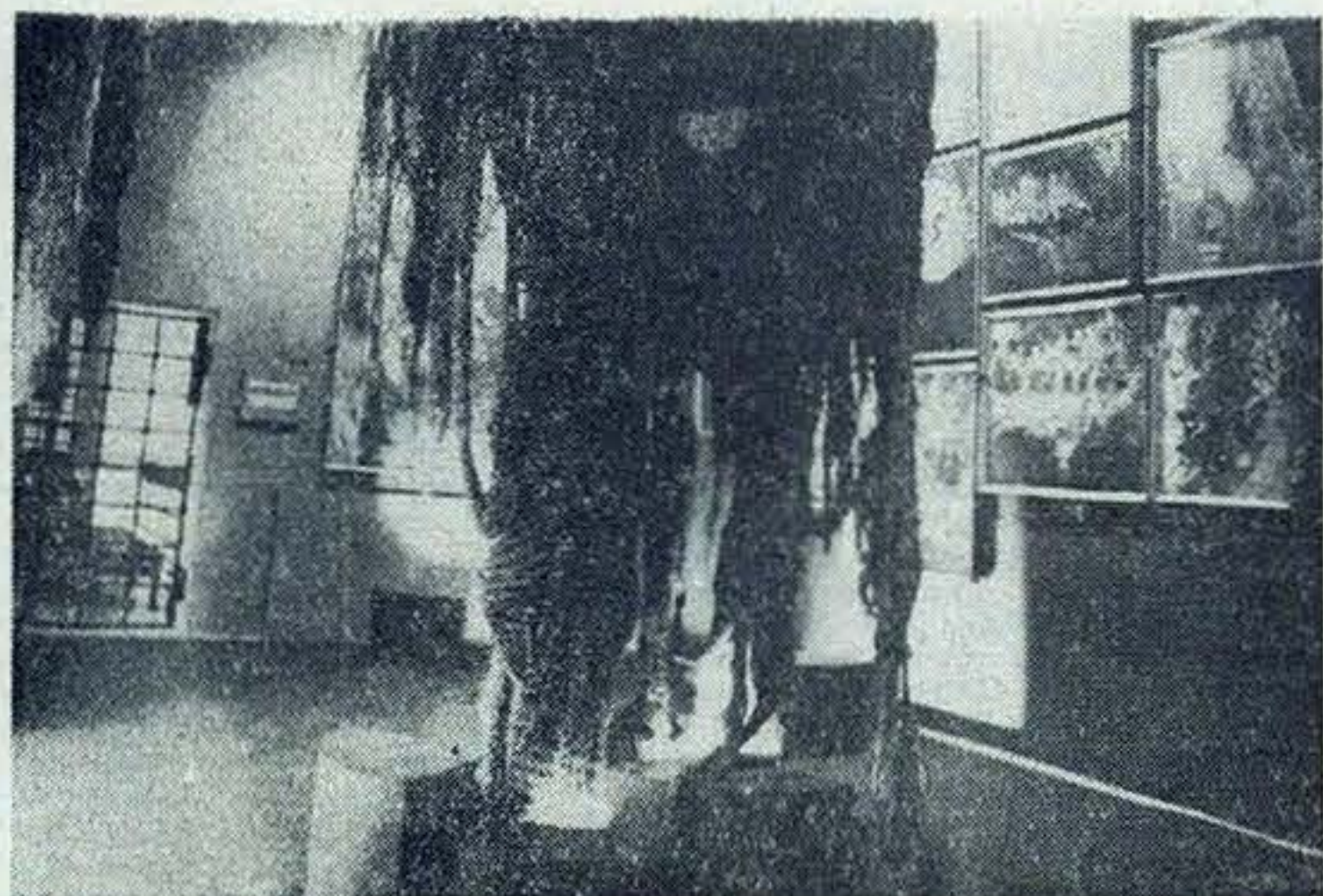
Nie byłem i nadal nie jestem bezkrytycznym entuzjastą twórczości Pauksty, pamiętam atak nań we „Współczesności” za światopoglądową (w aspektach religijnych) obłudę, częściowo z zarzutu podzielenia (meritum, nie napastliwa forma), choć uważałem i uważam, że w tym względzie równie — jeśli nie bardziej — obłudnie wygląda, np. „Dziesiąta brygada” Jana Dobraczyńskiego. Nie rozwlekając — jestem dziwnie spokojny, że z pisarstwa Pauksty pozostanie nie to, co do oceny proponuje Kuncewicz (młodzieńczość, wśród których jest obłudnawą „Młodość i gwiazdy”), ale właśnie najlepsze książki, z których w wielkiej ilości pisarza, zafascynowania nowa ojczyzna. Ze Pauksta niektórych błędów wobec autochtonów nie dostrzegali? A kto to w owych czasach dostrzegał od razu wszystko.

(AS)



LUCYNA KRAKOWSKA

Na pierwszym piętrze gmachu głównego Muzeum Ziemi Lubuskiej znajduje się galeria Lucyny Krakowskiej — dzieła malarskie i tkaniny artystyczne. W pierwszym projekcie, który nie został w pełni zrealizowany, miała bowiem owa galeria obejmować klatkę schodową i salę na piętrze, artystka wraz z Zdzisławem Struzikiem przekonywała: „Chcemy tak poprowadzić widza po schodach Muzeum, żeby nie trać celu, do którego zmierzał, odebrał nastroj i treści dzieła plastycznego, przez zut zaskoczenie artystyczne”. Galeria autorska Lucyny Krakowskiej —



Fragment galerii autorskiej „Marzenie przestrzeni” Lucyny Krakowskiej w Muzeum Ziemi Lubuskiej

Fot. BRONISŁAW LACHOWICZ

nie przestrzeni” powstała w roku 1980. Autorzy opracowania „Galerii autorskiej” piszą: „...w sali autorskiej Lucyny Krakowskiej toczy się gra między realnością a złudzeniem, między konkretem a tajemnicą przestrzeni”. Na ścianach wiszą obrazy, wyrażające uczuciowy stosunek autorki do przyrody. „Te matki moich prac są głównie motywy z ogrodu i lasu, związane z przyrodą Gór Świętokrzyskich. Malowane z natury. Chcę, żeby patrząc na moje obrazy mógł odczuwać wraz ze mną wejście w głąb jakiejś płataniny gąszczu. Konstrukcja jest tu zwięzła, lekko wspiera się sama na sobie. Jakby się przytrzymała u góry, gdzieś ponad obrębem. Swój świat, interesuje mnie blask słoneczny przenikający przez listowie albo rozpryskujący się na przedmiotach, jeśli jest pretekstem do malowania były przedmioty. Niepokój tych kształtów ma być jednocześnie łodem.”

Autorka twierdzi, że jej wyobraźnię malarską ukształtowała droga przez las, tam odczuwa obecność życia, które daje jej poczucie niezależności, zwycięstwa. Osobliwością tkanin L. Krakowskiej jest to, że nie posiadają one właściwie kompozycji w tradycyjnym znaczeniu, ich kształty nie mają określonego ani początku, ani końca, w przeciwieństwie

do dzieł malarskich. A jednak wspólnie z obrazami stwarzają one klimat niesamowitości, pełen nieznanych przestrzeni, do złudzenia przypominających wnętrza grot, jaskiń, stalaktyty i stalagmity, gdzie toczy się gra między realnością a złudzeniem.



Lucyna Krakowska jest absolwentką warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, dyplom uzyskała w roku 1960 u profesora Tadeusza Kulisiwicza, uprawia malarstwo sztalugowe i tkaninę artystyczną. Brała udział w wystawach krajowych i plenerach międzynarodowych (Jugosławia, Szczecin, Olsztyn, Zielona Góra). Prace jej znajdują się w zbiorach prywatnych i kolekcjach państwowych, m.in. w Narodnym Muzeum w Jugosławii, w muzeach okręgowych Olsztyna, Rzeszowa, Elbląga, Szczecina, Zielonej Góry. Związana jest z warszawskim środowiskiem plastycznym.

(AS)



W lutym na Polskę naszły mrozy. Nocami termometry wskazywały temperaturę minus 20,25 stopni Celsjusza. 4 lutego, o godzinie 16 minut 50, obywatel Marek Zieliński, zgłosił, że na polu, między zabudowaniami ferm drobiu w Rusinowie, leżą zwłoki kobiety. Stwierdzono, że kobieta jest stara, bez ciepłego odzienia, w sweter, spodniach, rajstopach, przyprószone śniegiem, ścięta przez mroź.

Lekarz orzekł, że zwłoki leżą w polu co najmniej dwa dni.

Polarny zgon

reportaż

W lutym na Polskę naszły mrozy. Nocami termometry wskazywały temperaturę minus 20,25 stopni Celsjusza. 4 lutego, o godzinie 16 minut 50, obywatel Marek Zieliński, zgłosił, że na polu, między zabudowaniami ferm drobiu w Rusinowie, leżą zwłoki kobiety. Stwierdzono, że kobieta jest stara, bez ciepłego odzienia, w sweter, spodniach, rajstopach, przyprószone śniegiem, ścięta przez mroź.

Lekarz orzekł, że zwłoki leżą w polu co najmniej dwa dni.

Zenon Kasztelan, dyrektor Państwowego Domu Opieki Społecznej, nie był pewien, czy stara kobieta jest z Głinska. Pensionariuszy jest tam niespełna czterdziestu. Trudno przecież pamiętać wszystkie swoje palce, jeśli się ich ma prawie czterdzieści.

Kłopoty mogą być. Weronika Machura, dawniej w Zarach, rocznik 1904, po raz ostatni była widziana w Państwowym Domu Opieki Społecznej w dniu 1 lutego. Przez pełne trzy dni a gdyby nie smutne odkrycie Marka Zielińskiego, pewnie i dłużej, nikogo z personelu opiekunczego, sprzątaczek, kucharek, pielęgniarek, nie interesował fakt, że ktoś nie ma przy stole, gdzie dają jeść, że wieczorem łóżko jest puste. W Głinsku, choć wielu pacjentów jest ubiegłownionych, jak sugeruje zdarzenie, można niepostrzeżenie umrzeć w zakamarku i długo czekać na pochówek, albo pójść w trzaskający mroź, tam gdzie oczy poniosą.

Nikt nikomu niczego nie doniesie. Komfort dyskrekcji. Przyczyna zgonu Weroniki Machury było wyczerpanie organizmu i zamaranie. Taki jest wyrok lekarzy. Takie samo orzeczenie, można wydać badając przyczynę zgonu badaczy bezkresnych, oł łodo wch Arktyki. Okolice Świebodzina w żaden sposób tamtych surowych stron nie przypominają. Białe niedźwiedzie, owšem, kto wie może sa.

Myślimy o żywych.

RYSZARD ROWIŃSKI

wprowadzeniu rekompensat — płaca przestała być miernikiem ekwiwalentnym wzrostu wydajności i jakości pracy. Nastąpiło załamanie się wszelkich systemów i taryfikatorów plac.

Po czwarte: Od kilku kolejnych lat budżet państwa zamykał się deficytem wzmagałym procesy inflacyjne. I tak dla przykładu deficyt wynosił: za rok 1980 — 26,0 mld zł; za rok 1981 — 124,5 mld zł; za 1982 r. — 80,7 mld zł; za rok 1983 — 25,3 mld zł; za 1984 rok — 68,1 mld zł.

Brak równowagi budżetowej był i jest w dalszym ciągu zagrożeniem dla reformy gospodarczej.

Po piąte: Powstała bariera psychologiczna wdrażania reformy gospodarczej spowodowana głębokim spadkiem w 1982 r. stopy życiowej społeczeństwa, który identyfikowano nie z kryzysem gospodarczym, lecz z rozpoczętą reformą gospodarczą. To spowodowało niechęć i nieufność społeczeństwa do reformy, którą kojarzono tylko z podwyżkami cen. Pojawiała się więc presja społeczna na łagodzenie dolegliwości życia społecznego w sposób sprzeczny z założeniami reformy, np. poprzez ekonomicznie nieuzasadnione utrzymywanie zatrudnienia, nie rezygnowanie z nadmiernych i luksusowych aspiracji w sferze konsumpcji, administracyjno-nakazowe dla wzięcia cen umownych, itp.

Po szóste: Stworzone z dużym trudem podwaliny prawa gospodarczego zaczęły pękać pod naporem wydawanych licznie przepisów wykonawczych, nie zawsze zgodnych i spójnych, a często i sprzecznych z regulacją ustawową. Powstał chaos i zamęt w tym zakresie. Nastąpiła deprecjacja systemu prawnego, bo kto może znać ponad 20 tys. aktów prawnych, które aktualnie obowiązują? Czyżby miało to potwierdzić znane powiedzenie Tacyty, wybitnego filozofa i historyka rzymskiego z pierwszego wieku naszej ery — „Im państwo bardziej chore — tym więcej w nim ustaw i rozporządzeń”?

Po siódme: Wszystkie te słabości systemowe, bądź luki w nim występujące, które tu wymieniamy przykładowo i z pewnością niekompletnie — skrzętnie wykorzystane zostały przez biurokratyzm-dogmatyzm tzw. „Centrum” — do prób odrestaurowania poprzednich skompromitowanych i nieefektywnych struktur, a nawet i może mocniejszych od byłych zjednoczeń. Typowym przykładem może tu być powołanie do życia „gwarctw” w górnictwie zrzeszających obligatoryjnie wszystkie kopalnie, a obecnie próba zmointowania „Wspólnoty Przedsiębiorstw Hutnictwa Żelaza i Stali” do której mają należeć wszystkie huty. Podobnie rzecz przedstawia się z przemysłem okrętowym, elektrycznym, itp.

Nie jest rzeczą autora mnożenie przykładów odstępstw od reformy nakreślonej w kierunkach docelowych, bądź pokazywanie większej ilości przykładów łamania prawa w tym zakresie. Wymaga to bowiem odrębnego studium. Najsmutniejsze w tym jednak jest to, co trzeba mocno podkreślić, że przeciwnicy reformy czynią to, powołując się na Uchwały IX Zjazdu PZPR i w imię dalszego doskonalenia funkcjonowania gospodarki narodowej. Czy to paradoks, czy kpina?

Historia gospodarcza polskiej polityki ekonomicznej to także historia wielokrotnej jej reorientacji, zakrętów i kryzysów. Emocjonalne ich obnażenie w latach 1980—1981 sprawiło, że wypracowano w 1981 roku pewien program poprawy systemu funkcjonowania gospodarki, umownie nazwany „reformą gospodarczą”. Czyżby w tak krótkim okresie czasu zapomniano, że praw ekonomicznych bezkarnie lekceważyć nie można? Czy powrót do starych metod zarządzania i kierowania gospodarką, które doprowadziły do kryzysu gospodarczego nieznanego w powojennej historii żadnego państwa w Europie — ma stanowić remedium na patologiczne objawy naszej gospodarki?

Jestem głęboko przekonany, że te „pseudonaukowe” eksperymenty zbyt długo trwają i że zbyt drogo kosztują całą gospodarkę, a tym samym i całe społeczeństwo polskie znękanie przedłużającym się już kryzysem gospodarczym.

Czas najwyższy z polskiego kryzysu gospodarczego wyciągnąć właściwe wnioski. Zgodzić się trzeba z jakże słusznym twierdzeniem F. Engelsa, że „Wielka klasa, podobnie jak wielki naród, najszybciej się uczy na skutkach własnych błędów”.

Szkoda, że proces uczenia się w Polsce w wielu środowiskach decydenckich przebiega tak wolno i opornie.

WARUNKI GOSPODAROWANIA W ROKU 1986

Punktem wyjścia do rozważań o aktualnych problemach gospodarki musi być każdorazowo ocena gospodarki państwa w ogóle, oraz jego mobilność do ponoszenia ciężarów inwestycyj-

nych. Analiza ta jest bardzo ściśle związana z aktualną polityką społeczną-gospodarczą państwa, występującymi i pożądanymi preferencjami, strażką i kierunkami rozwoju gospodarki, uwarunkowaniami wewnętrznymi i zewnętrznymi. Czego zatem można spodziewać się w roku 1986 w sferze najbardziej nas interesującej, a więc związanej z funkcjonowaniem gospodarki narodowej?

Po pierwsze: W dalszym ciągu działalność gospodarczą w roku 1986 prowadzona będzie w warunkach nierównowagi sytuacji pieniężno-rynkowej i postępującej inflacji. Szacuje się, że stan nierównowagi finansowej w roku 1986 wyniesie około 260 mld zł, co wynika z deficytu budżetu państwa oraz z nadwyżki przychodów pieniężnych ludności nad wydatkami.

Szacunek ten wydaje się być w zakresie analizy zjawisk inflacyjnych niepełny, gdyż nie uwzględnia nadwyżki eksportu nad importem towarów, przynajmniej w części robocizny pozostającej w kraju i niezbilansowanej towarami rynkowymi, które zamierza się eksportować.

Po drugie: W dalszym ciągu w roku 1986 występować będzie ostry deficyt w zakresie wielu asortymentów materiałów, surowców i energii — mimo podwyższenia z dniem 1 stycznia 1986 roku na nie cen zaopatrzeniowych w granicach określonych Uchwałą Nr 178 Rady Ministrów o Centralnym Planie Rocznym na 1986 r. w granicach 3—35 proc. Najpoważniejsze ograniczenia w tym zakresie wystąpią w grupie paliw i energii.

Po trzecie: Podobnie jak w latach ubiegłych w dalszym ciągu przewiduje się realizację programów operacyjnych i zamówień rządowych, które będą objęte priorytetem w przydziałach materiałów i wyrobów oraz w zakresie realizacji inwestycji w tym zakresie. Zgodnie z Uchwałą Nr 123 Rady Ministrów z dnia 19 lipca 1985 r. realizowane będą następujące programy operacyjne:

- publicznego transportu kolejowego i drogowego,
- zaopatrzenia gospodarki żywnościowej,
- zaopatrzenia ochrony zdrowia

Po czwarte: Mimo występującego już od roku 1980 deficytu w budżecie państwa, który za lata 1980—1984 wyniósł 325 mld zł, również rok 1985 zamknięty deficytem w wysokości 52 mld zł, a planowany na rok 1986 deficyt wynosi aż 151 mld zł.

Po piąte: W dalszym ciągu wbrew

logice reformy gospodarczej przewiduje się wysokie dotacje dla przedsiębiorstw i organizacji spółdzielczych i to zarówno dotacje podmiotowe jak i przedmiotowe. Łączna suma dotacji obejmuje ponad jeden bilion zł (1.004 mld zł), a więc 22 proc. wszystkich wydatków budżetu państwa, z tego na dotacje przedmiotowe przypada 826 mld zł, co stanowi 18 proc. wydatków budżetowych ogółem. Do artykułów żywnościowych dopłaty wyniosą 322 mld zł (w tym mleko i produkty mleczne 143 mld zł, mięso i przetwory 77 mld zł, tłuszcze roślinne 19 mld zł itp.). Do artykułów konsumpcyjnych nieżywnościowych dopłaty wyniosą ogółem 72 mld zł, z tego na węgiel i koks około 61 mld zł. Do placówek badawczych do artykułów w zaopatrzenia rolnictwa 86 mld zł, do usług PKP i PKS 107 mld zł, do gospodarki komunalnej i mieszkaniowej 379 mld zł.

Niezależnie od powyższego 450 mld zł wyasygnuje się na dotacje dla przedsiębiorstw, w tym: dopłaty do węgla wyniosą 211 mld zł, do statków

stych kubaturowych — w związku z utrzymaniem instytucji „kaucji inwestycyjnych”. Ustawa budżetowa wprowadzająca te sankcje — w artykule 14 przewiduje jednak zbyt wiele wyłączeń, które mogą osłabić funkcjonowanie tej instytucji ekonomicznego nacisku na jednostki gospodarki uspołecznionej.

Po dziesiąte: W związku z nadmiernym szafowaniem ulg i preferencji w latach ubiegłych — nastąpiło ustawowe ograniczenie o 1/4 należnych jednostkom gospodarki uspołecznionej ulg w podatku dochodowym oraz we wpłatach amortyzacji w 1986 roku).

Po jedenaste: W związku z reorganizacją naczelnych i centralnych organów administracji państwowej, — ulegnie zmianie wiele przepisów wykonawczych. Można więc spodziewać się już w pierwszym półroczu 1986 roku rozwiniecie ponownie radosnej twórczości „legislacyjnej” w tym zakresie.

Tak przedstawiają się niektóre najbardziej znaczące uwarunkowania sytuacji gospodarczej — determinujące roz-

szko, który pisał: „Nie może się naród ocalić bez rzędu, lecz rząd nie może być czynnym bez zaufania, posłuszeństwa i gorliwości ludu”.

Po trzecie: olbrzymie rezerwy tkwią w naszej gospodarce i to zarówno w sferze materialno-technicznej jak i organizacyjno-ekonomicznej. Ich wyzwalenie jest możliwe tylko poprzez stworzenie sprawnie funkcjonującego systemu motywacyjnego przez same załogi przedsiębiorstw. Praktyka 40-lecia dowiodła, że regulacje centralne w tym zakresie były i są antymotywacyjne, bądź protekcyjniste, oparte na decyzjach werbalnych, a nie na rachunku ekonomicznym. Czas najwyższy przywrócić blask podstawowym kategoriom ekonomicznym takim jak: zysk, cena, koszt i skończyć z substytutami buchalteryjnymi jak „produkcja czysta”, „produkcja netto” itp. według których dokonuje się pseudo ocen przedsiębiorstw.

Po czwarte: siłą napędową naszej gospodarki może i musi być kadra kierownicza której należy zapewnić wysoki prestiż oraz pozycję społeczną i ekonomiczną. Dobór tej kadry należy bezwzględnie zobiektywizować przy pomocy konkursów, licencji i stawiania niezwykle wysokich wymogów etyczno-moralnych i zawodowych. W wypełnianiu zaś przez nią obowiązków w żadnym przypadku nie mogą hamować ograniczenia odgórne, dyktowane, manipulowanie, czy stwarzanie poczucia zagrożenia. Jedyną miarą oceny działalności kadry kierowniczej może być efektywność i optymalizacja jej działania.

Tych kilka refleksji z pewnością nie wyczerpuje bogatej problematyki naszej gospodarki, ale być może stanie się przyczynkiem do podjęcia rzetelnej dyskusji na ten temat.

ALEKSANDER KAPUSTKA

Przypisy:

- 1) Zob. przykładowo A. Kapustka — „Mój głos w sprawie reformy gospodarczej” (W) „Problemy organizacji” 1981 r. nr 3 s. 139—145.
- 2) Szerzej autor na ten temat pisał w sierpniu 1982 r. Zob. A. Kapustka „Chmury nad reformą” (W) „Nadodrzie” nr 19 (576) 1.08.1982 r.
- 3) Por. „Rocznik statystyczny” 1985 r. Tabl. 1 (138) str. 93.
- 4) Wg informacji podanej w „Rzeczpospolitej” nr 158 z dnia 9.07.1985 r. w PRL obowiązują 487 ustaw i dekrety, 13 tys. przepisów wykonawczych — nie mówiąc o prawie powielaczowym wydawanym przez poszczególne resorty, które nie jest objęte rejestrem obowiązujących przepisów prawnych.
- 5) Szerzej na ten temat zob. A. Kapustka: „Kilka refleksji na temat polskiej kryzysu” (W) A. Kapustka „Inwestycje w reformie” Zielona Góra 1985 r. s. 9—17.
- 6) Cytat z J. Burzowskim i A. Wajda, „Myśli i aforyzmy Engelsa, PIW, 1978 r.
- 7) W 1985 r. jednostkom gospodarki uspołecznionej udzielono 150 mld zł, z tytułu ulg podatkowych, z tego 43 mld z tytułu wzrostu eksportu, 4,8 mld zł za poprawę jakości a 1,5 mld zł za wypracowane oszczędności.
- 8) Zob. art. 7 ustawy budżetowej z dnia 23.12.1985 r.

Aleksander Kapustka, doktor nauk organizacji i zarządzania, autor 10 książek i kilkudziesięciu publikacji z zakresu organizacji i zarządzania. Od 1954 roku pracuje na Ziemi Lubuskiej i pełni od 1962 r. kierownicze funkcje w przemyśle i budownictwie. Działacz społeczny, w latach 1981—1985 wiceprezes ZG TNOiK, członek Komisji ds. Reformy Gospodarczej i Komitetu ds. Organizacji i Zarządzania Krajów RWPG. Obecnie zastępca dyrektora ds. ekonomicznych Okręgowego Przedsiębiorstwa Geodezyjno-Kartograficznego w Zielonej Górze, członek PTE, SAP.

CZTERDZIEŚCI LAT MINĘŁO...

Nawet na Mazurach wiedzą już, że w Sulechowie nie warto zjeść, a broń Boże po piątku, jeździć samochodem. Jest to autentyczna wiadomość przywieziona z wakacji przez harcerzy z Młodzieżowej Służby Ruchu. Wie o tym łódzki taksówkarz, który na zielonogórskich drogach poczuł się zbyt mocno kontrolowany. Rzeczywiście, tych ormowców z „drogówki” trudno oszukać. Znają się na wozach — wielu z nich to zawodowi kierowcy autobusów. Po wielu latach kontroli pojazdów — bez względu na pogodę: w śniegu, deszczu i upalne dni, nie ma kłopotów z miejscowymi kierowcami, gorzej jest właśnie z tymi obcymi. Ale podobno profilaktyka czasem pomaga. Lepsza uwaga niż mandat.

Najtrudniej pisać o kwestiach niejednoznacznie odbieranych przez społeczeństwo — wtedy, gdy pewne wartości się zderzają, bądź — ukazywały w niekorzystnym świetle. Coraz więcej w naszym życiu niepopularnych haseł, prawd, działań, ludzi. Hurra — optymizm ustąpił ironii w ocenie zjawisk, uważnemu liczeniu pozytywów i negatywów: niepopularność sterująca wszelkie osobiste, bolesne

zadry i społeczne rozczarowania, rozdrażnienia.

Słuchając opowieści o pracy sulechowskich ormowców często odnosiłam wrażenie, że pasja tych ludzi, ich rzeczywiste działanie i społecznikostwo wynika z całkowitego oddania się idei, dla której nie jest ważny sztyt i nazwa organizacji. Coraz trudniej — gdy „śmierć frajerom” — o ludzi rezygnujących z domu, rozgrywki, nauki, poświęcających swój czas pracy niewymiernej i dla ogółu nieatrakcyjnej. Przykładem może służyć postać człowieka tak przejętego swym powołaniem, że nie śpi w obawie, iż coś umknie jego uwadze. Zimą ten człowiek budzi o świcie żonę i razem odśnieżają zasypaną drogę; jadący rano ludzie są zaskoczeni — po uciążliwych zaspach nagle czysta, wysypana żółtym piaskiem ulica. Tu: obowiązek stał się częścią życia. To stwierdzenie kryje w sobie jeszcze inną prawdę — wszelka pasja działania wśród ludzi rodzi się z wewnętrznej potrzeby bycia przydatnym i z podwyższonej wrażliwości na dziejące się zło.

Z leśnikami z sekcji ochrony wód

i przyrody pojechaliśmy nad zlewisko Obrzy i do lasu w Borkach. Odwiedziliśmy tereny łowieckie największego z drapieżników-człowieka. Zdałoby się, że kłusownictwo to dawna przeszłość, a tymczasem nie bardziej mylnego. Wyginęły dzikie króliki, padają sarny i bażanty. Bardzo trudno złapać kogoś na gorącym uczynku. Zdarzają się „poradcze” wypadki, ale wtedy delikwent oświadcza, że jest miłośnikiem zwierząt i... właśnie próbuje uwolnić sarnę z potrzasku. Ostatnio złapano w lesie dwóch mężczyzn odzierających ze skóry dzika. Podobno żal im było marnującego się mięsa. Kłusownicy, którym nie sposób udowodnić winę, zapłacili około 60 tysięcy złotych grzywny i pewną kwotę zależną od wagi zwierzęcia. Nie znalazłono jednak sprawcy śmierci młodej sarny; musiano ją rzucić na żer lisom.

Tymczasem, kilkadziesiąt metrów dalej — pod lasem mogliśmy obserwować piękną, niesposobną grupę sarenek. Oby nie nastąpiły ofiary wyników. Ormowcy boją się nad tym, że kłusownicy zabijają też ryby. Popularne rażenie prądem wody jeszcze nie zabiło człowieka: wędkarza czy pływaka. Na razie tylko gorliwy strażnik, ormowiec bronił się przed zepchnięciem: dobrze jest wtedy umieć pływać i nie myśleć o własnej śmierci.

W takich nieprzyjemnych chwilach można kolejny raz zadać pytanie: dlaczego, mimo niepopularności takiego działania — społeczników nie brakuje

(na marginesie — jeśli mówię o problemach, to w kontekście wieku: nie ma młodych ludzi, pozostają jeszcze w szeregach harcerstwa, ZSMP i organizacji studenckiej; średnia wieku ormowców jest grubo powyżej trzydziestki lat). Na pewno — po względnej „stabilizacji” przychodzi potrzeba sukcesów niezależnych często od pracy zawodowej, a przynosząca widoczne efekty: mniej wypadków na drogach, uratowane zwierzę, wykryte przestępstwo, czy poprawa etycznej sytuacji handlu. Coraz rzadsze w Sulechowie i okolicach są przypadki spekulacji, choć niektórzy obiecują członkom grupy antyspekulacyjnej piękną szubienicę.

O ile w powyższych przykładach mówimy o namacalnych efektach pracy, to trudniej o satysfakcję w opiece nad nieletnimi. Ingerencja w życie rodzin zdemoralizowanych i zagrożonych — potrzebna ze społecznego punktu widzenia — bywa często nieprzyjemna. Na efekty pracy wychowawczej czeka się latami, nie zawsze z powodzeniem, gdy silniejszy jest wpływ rodziny i środowiska. Każdy, najdrobniejszy nawet sukces dopinguje do dalszego działania. Na przykład regularna akcja „Wagary” wypłoszyła młodzież z kawiarni i parków w czasie godzin lekcyjnych z powrotem do szkół. A i z pobliskich miejscowości coraz mniej uciekinierów — okazało się, że po prostu nie warto: w szkole i w domu szybko będzie o tym wiadomo. Wygląda to na rygor,

ale potrzebny, egzekwowany rzadziej przez zniechęconych nauczycieli, częściej przez społeczników spoza kręgu szkolnego.

Przykładem łączenia pracy zawodowej z aktywnością w specjalistycznej grupie ormowskiej jest najmłodsza, dopiero kilkumiesięczna grupa kolejarzy. Ożywiła się atmosfera na kolei: „Ludom jakby skrzydła urosły”. Na dworcu porządek i spokój, nie licząc dni, kiedy wychodzi rezerwa. Ten żywioł nie podlega władzy PKP. Rozwiązano ostatnio problem pękających w czasie transportu płyt stropowych — nieuczciwy okazał się producent wysyłający zbyt świeży towar. Anegdotalnie już traktują kolejarze ormowskie swe doświadczenia przy odbieraniu przesyłek, np. rumuńskich, gdzie w oryginalnych pudełkach brakują butelki wina, a meble w obrobie fabrycznie pakowanej całości wcale nie chcą się złożyć...

Prawdziwa jest pasja działania tych wszystkich ludzi, skromnych, chcących pozostać anonimowymi. Ważniejsze od taniego, krótkotrwałego rozgłosu ma być, jak stwierdził jeden z nich, „nadrzanie za społecznymi potrzebami”. Obchodząc swoje święto czterdziestolecia ORMO działacza z Sulechowa — Wojciechowski, Uracz, Müller, Czeski, Serafin, Nikielski, Radziejewski, Jelen, Kaczmarek i Piurkowski by wymienić kilku spośród dwustu ormowców, nadal są tam, gdzie czekają trudności i problemy zwyczajnego życia.

EMMA

A znów dyrektor Jakubowski (buty) szczerze wyznał: — Ma przyjąć jakąś gorszą cholera, przyjdzie lepiej ty.

I ten argument ją przekonał. Janina Chlebowska pyta, czy znam trzy zasady siadania na jeża naga pupa. Nie? To zaraz mi powie. Otóż na jeża można usiąść gdy jeż jest ogolony, gdy siadamy nie własną pupą lub wtedy gdy partia każe.

Zawsze uważała się za zdyscyplinowaną członka partii, uważała więc, że musi postąpić według trzeciej zasady, bo to władze partyjne i administracyjne zaproponowały jej stanowisko. Propozycję potraktowała jako ciężkie zadanie partyjne.

— Usiadłam na tego jeża w 1975 roku, żeby było śmieszniej — pierwszego kwietnia.

W pierwszych dniach ogarniał ją lek. Nie da rady, nie upora się z balaganem reorganizacyjnym, a co z ludźmi? Będą z nią czy przeciwko niej? Byli dyrektorzy — staną się jej sojusznikami? A może wręcz odwrotnie? Nie liczyła wówczas bezsennych nocy.

— Oddawaliśmy Wschowę, Głogów, Gorzów; przyjmowaliśmy od Wrocławia, Jelenią Górę, Poznań przekazywał nam Wolsztyn, ponadto „Społem” przekazywało nam sklepy tekstylne i obuwnicze we wszystkich trzech województwach. Z ośmiu przedsiębiorstw powstało jedno i ja byłam dyrektorem naczelnym tego nowego przedsiębiorstwa.

W kraju tylko trzy kobiety zajmowały podobne stanowiska. Na szczęście u niej, w tym nowym przedsiębiorstwie „baba”, jej zastępczynię, podtrzymywały ją na duchu. Przed reorganizacją były dyrektorkami, kierowały samodzielnymi przedsiębiorstwami, miały doświadczenie, teraz w innej już roli zachowały się wspaniale, wspierały koleżankę — szefową. Zawierzyła im od razu.

W ogóle uważała, że odniosła sukces. Żaden z byłych dyrektorów nie podziękował za pracę, żaden nie powiedział — nie będzie mną baba rządzić, wręcz przeciwnie doradzali, bo teraz w nowym układzie byli przecież specjalistami.

Od początku narzuciła sobie rytm życia: wstawanie o piętej, wyjazd w teren, trzeba było poznać nowy teren, na leżało koniecznie poznać ludzi, także tych z małych sklepików w małych miasteczkach.

Zaloga liczyła dwa tysiące sześćset osób.

Puścimy sobie drugą taśmę? To na granie pożegnalne. Wtedy odchodziła na emeryturę, wcześniej ją odczytywała.

Znów trząsk magnetofonu, taśma się kręci, słychać gwar i na tym tle jej głos: — „Może coś zaśpiewamy?”

— „Tak, zaśpiewamy, niech pani dyrektor zacznie...”

Zaczyna śpiewać, inni podchwytyują melodię. — „Z piosenką przez świat...” Każda zwrotkę pani dyrektor kończy refrenem: — „W piosence jest serce za logi...”

Słychać wyraźnie, refren nuci wiele osób.

— ★ —

List przyszedł do pracy wraz z inną korespondencją na jej nazwisko. Otworzyła kopertę, przeczytała: — „Ko muniści na szubienicę. Żdamy krwi!”

Z takim listem chce się coś natychmiast zrobić. Ale co na przykład? Trzeba to natychmiast komuś powiedzieć, pokazać, może poradzić się? Pod ręką była akurat sprzątaczką. Spojrzała, przeczytała, są różni ludzie, nie trzeba się przejmować — sprzątaczką szukała słów, które dodałyby otuchy dyrektorze.

Czy można się nie przejmować, gdy ktoś grozi szubienicą? — Uspokój się — odwoływała się do rozsądku. Nie pomoże. Chodziła rozstrzęsiona. O takich groźbach czytała w kryminałach, ale że by jej się coś podobnego przydarzyło?

Nie, nie obawiała się, że ktoś spełni groźbę, chodziła wieczorami bez lęku, sama. To zostało w niej z dzieciństwa. Wojna wybuchła gdy miała dziewięć lat. W dwa lata później wiedziała już co to łapanie, rozstrzelanie a mimo to, o zmierzchu wracała do domu przez las, bo Mroźnica — dzielnica w Boryslawie gdzie mieszkali rodzice, położona była wśród lasów. Powroty o zmierzchu zapamiętała. Wtedy też nie bała się.

Wojna wybuchła gdy miała dziewięć lat. W dwa lata później wiedziała już co to łapanie, rozstrzelanie a mimo to, o zmierzchu wracała do domu przez las, bo Mroźnica — dzielnica w Boryslawie gdzie mieszkali rodzice, położona była wśród lasów. Powroty o zmierzchu zapamiętała. Wtedy też nie bała się. Ani po wojnie nie odczuwała lęku kiedy późnymi wieczorami wracała z wykładów przeskakując gruz na ulicach Wrocławia. Studia, w co prawda zburzonym Wrocławiu, niosły tyle nadziei, tyle optymizmu, że nie sposób było myśleć o niebezpieczeństwie. Przemierzała puste ulice, zapuszczała się w odległe dzielnice, nie pomagały ostrzeżenia znajomych, że nie powinna, że ryzykuje...

Tak więc skoro nie bała się jako dziecko w czasie wojny, skoro nie bała się jako młoda dziewczyna — studentka za raz po wojnie, to rozumiała — nie mogła się bać w 1981 roku.

Drepczący był jednak niepokój.

List pokazała pracownikom, swoim zastępcom a także mamie. Mama to przecież najbliższa osoba, z kim, jeśli nie z nią, miała się podzielić zmartwieciem?

Ach, gdyby można było zawrócić czas! Mama przeżyła się bardzo, ale zapewne nie ten list sprawił, że trzeba ją było zawieźć „erką” do szpitala. I naprawdę nie można, nie trzeba nawet myśleć, że tamte wydarzenia...

Niedługo potem Janina Chlebowska odeszła w zaświaty.

Jak się wkrótce okazało list był pierwszym ostrzeżeniem. Niedługo potem „Solidarność” zakładowa wystosowała do niej pismo. W piśmie pani dyrektor wyczytała, że „w rażący sposób lekceważy sprawy pracownicze”. Poza tym „Solidarność” postawiła kilka warunków, w tym warunek zwolnienia niektórych osób.

A przecież były potrzebne!

— Tak, wiedzieli, czym mnie dotknął, wiedzieli, co mnie najbardziej zaboli — Janina Chlebowska sięga po kolejne go papierosa, chociaż przecież tamte wspomnienia nie rozplyną się w papierosowym dymie.

W przedsiębiorstwie nie robiła tajemnicy z własnej filozofii. Praca, ludzie w pracy — to był sens jej życia. Gdy odchodziła na emeryturę, powiedziała na pożegnanie (i tego teraz słuchamy): — „Byłście i pozostaniecie częścią mojego życia, częścią mojej rodziny”.

tłumaczyli jej, że nie respektowała uchwały, więc jest winna. „Sąd” odbył się w maju 1982 roku. Nie miała poczucia winy (— „Czy rozsądne myślenie może być winą?”), podczas „rozprawy” nawet się specjalnie nie usprawiedliwiała.

— „Postąpiłam zgodnie z duchem uchwały, to jest przecież także kwestia interpretacji, trzymałam się uchwały, no, może tylko nie w szczegółach”, tłumaczyła towarzyszom z komisji kontroli partyjnej, ale chyba zupełnie niepotrzebnie.

Dostała nagane. Zaraz egzekutowała, a potem cała podstawowa organizacja partyjna, wystąpiła o anulowanie tej nagany.

Przyjaciele, znajomi doradzali: — Odwołaj się.

Nie posłuchała dobrych rad. Bo niby co miałaby napisać? Nie zasmradzając mi opinii na trzy miesiące przed eme-

Nie, nie rozmawiali. Bo o czymże miałaby z nim teraz rozmawiać?

Jest na emeryturze, ma duże doświadczenie, więc powinna chyba więcej rozumieć. Jak to się dzieje, że nie rozumie?

Pod koniec lat siedemdziesiątych patrzyła w zdumieniu na postępującą dewaluację władzy. Tłum ministrów jeździł po Polsce i otwierał bazy ale to jeszcze nie wszystko. Jej przedsiębiorstwo budowało sklepy sportowe, budynek miał kosztować ponad dwanaście milionów, tyle właśnie wynosił dzienny obrót przedsiębiorstwa. Jako dyrektor obracała miliardami, była za nie odpowiedzialna. Żeby jednak dostać kredyt z banku na ten sklep, musiała uzyskać zgodę i podpisy czterech premierów: Jarosława, Wrzeszczyka, Secomskiego i Pyki.

— Ludzie! — mówiła — premierzy de-

ka „Frania”. Nie dało się starej naprawić ani nie można było kupić nowej. Ale, jak już mówiłam, babcia ma szczęście. Przydział na pralkę podpisał sam wojewoda, więc czy to nie jest duże szczęście, jeśli nie musi się wszystkiego po dziewczynkach prać ręcznie?

W dodatku Janina Chlebowska „wychodziła” jeszcze dla babci zamiast mieszkania z czwartego piętra na parter. Nie trzeba będzie wnuczek znosić z góry na dół, to dobrze, bo są przecież coraz cięższe.

— Tak, tak pani Nowakowa — mówiła wczoraj Janina Chlebowska. — Miejsca dla dziewczynek w klinikach poznańskich są zaklepane. Niech pani nie dziękuje, nie trzeba.

Kiedys nie sądziła, że jest tyle nieszcześć na świecie. Dopiero tu w Towarzystwie do Walki z Kalcem pojęła, że coś warto (i czy naprawdę takie ważne?) są ulotne opinie, nagany, pomówienia w zderzeniu z amputacjami nóg, rąk, z niedorozwojami, porażeniami, w zderzeniu z prawdziwym wielkim, ludzkim dramatem?

Towarzystwo przytułiło się w kącie gmachu Urzędu Wojewódzkiego. Trafiła tu przez przypadek. Znajomy któregoś dnia zapytał: — Słuchaj, może byś się czymś zajęła?

Dlaczego nie? Wprawdzie zawsze ma pełne ręce roboty, narobiła na przykład dużo zapraw — dżemy truskawkowe, chociaż truskawki były marne, udały się znakomicie, a kompoty ze śliwek mirabellek i gruszek są wprost świetne. W domu, nawet wczesna emerytka nie się dźbi beczynnie. Może również robić na drutach albo zająć się szyciem.

To wszystko robiła dla zabicia czasu. Kiedy jednak kolega wspomni o pracy w Towarzystwie, zgodziła się od razu, ale wtedy jeszcze nie wiedziała, że jest tyle głuchych dzieci, którym pilnie potrzebne są aparaciki słuchowe (— „Wie pani takie wygodne, wbudowane w oprawkę okularów”), nie przypuszczała, że butów ortopedycznych brakuje, że ludzie bez nóg, z niedowładami nóg, zdani na jej wysiłki, będą cierpliwie czekać aż ona te buty gdzieś załatwi, gdzieś wychodzi, wyprosi.

Jako pani dyrektor, a potem jako przedwczesna emerytka, nie sądziła, że będzie musiała się jeszcze uczyć. A uczy się pilnie. Powiedźmy wprost — z dwójką uczniów przerabia w domu cały program. Chłopcy mają kłopoty w szkole. Przy okazji przypominają sobie co to węglowodany, jaką mają wartość, a także to, że Napoleon miał dwadzieścia pięć lat, gdy został generałem.

A teraz jest pytanie dla mnie: — Który kraj w Ameryce posługuje się językiem portugalskim?

No właśnie, pewnie nie wiem. Ona sama czasem dochodzi do wniosku, że z przejściem do klasy dziewiątej mogłaby mieć kłopoty, tak dalece zmienił się program szkolny. Na razie przerabia program klasy ósmej i klasy drugiej zasadniczej szkoły kolejowej.

Tak więc te bezpłatne korepetycje i praca w Towarzystwie dają jej naprawdę wielką satysfakcję. Po dwudziestu paru latach pracy w biurze na kierowniczych stanowiskach znów przypominała sobie jak należy pisać na maszynie, już wie, jak znaleźć kod, dotychczas robiły to jej panie sekretarki w kancelarii.

— Znów czuję się bardzo potrzebna, a niech pani powie — może być większe szczęście niż świadomość, że człowiek jest innym bardzo potrzebny?

— ★ —

Zrobiło się późno, zgarniamy z biurka laurki, taśmy, gazety, nagle Janina Chlebowska mówi tak: — Powinna mi pani zadać takie pytanie, czy gdybym była jasnowidzem, gdybym wiedziała jak się wszystko potoczy, to czy podjąłabym się tej funkcji? Tego stanowiska? Więc ja bym się na to zdecydowała nawet wtedy, gdybym znała zakończenie. Kiedys mówiłam, że ci, którzy polecieli mi przejąć tę funkcję, nie są moimi przyjaciółmi. Zmieniłam zdanie. Teraz jestem im bardzo wdzięczna. Poznałam ludzi. Różnych. Stanowisko dostarczyło mi wielu mocnych wrażeń.

REGINA DACHOWNA

Tekst otrzymał I nagrodę w konkursie na reportaż „Środkowe Nadodrże 85” zorganizowany przez LKUP, ZO SD PRL, LTK i naszą redakcję.

BEZ WYJAŚNIEŃ



Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ

rytura? No przecież nie miałaby szacun ku dla siebie. A poza tym gdyby się odwołała i gdyby uchylili jej ów „wyrok”, ktoś mógłby powiedzieć: — O, zlitowali się nad biedną Chlebowską, postanowili nie zasmradzać jej życiorysu przed odejściem.

Zresztą z nagana jest jak z pinetką — wcisnąć pinetkę, potem się rozmyślasz, wyjmiesz ją a ślad po niej i tak zostanie. Zostanie dziurka.

A w ogóle co to znaczy anulować nagane?

I tak nie jest źle, od pięćdziesiątego czwartego roku należy do partii, tyle lat a tylko jedna nagana.

— Słyszała pani co mówią wierzący? Kogo Pan Bóg kocha, zsyła mu krzyżki. Ja dodaję — kogo partia kocha, daje mu nagany.

— ★ —

Uroczyste pożegnanie odbyło się dziesiątego lipca 1982 roku. Kole-dyzy nagrali je na taśmę.

W ruch więc idzie znów magnetofon. Cześć, pani dyrektor... — taki jest początek pożegnania. Ludzie mówią, że była dobra, że wspaniała, że nigdy nie zapomną...

Może nie należy po kilku latach prześluchiwać takich taśm? Z człowiekiem dzieje się wtedy coś dziwnego. Widać na przykład wyraźnie, że nawet najlepszy tusz rozmazuje się, chociaż do placu jeszcze bardzo daleko.

Z pożegnania zostały laurki, masa laurów, były też kwiaty, dużo kwiatów, ledwie mieściły się w „Zuku”, który przywoził wszystko do domu.

Była wzruszona i dzisiaj mówi, że kto wie, czy dla tak wspaniałego pożegnania nie warto było przeżyć te wszystkie udręki.

— Wie pani? Wyobrażam sobie swój pogrzeb. Będzie wyglądał tak jak pożegnanie. Ludzie będą mówić to samo — była, pracowała... Wszystko w czasie przeszłym.

— ★ —

Czy czuje się rozgoryczona? Nie, podobnego! List, pismo „Solidarności” a potem nagana — to sprawy odległe. Patrzy na nie, i w ogóle na całe swoje życie, jak na fantastyczny, kolorowy film o kimś obcym. Czasem myśli: — Przeczytałam jeszcze jedną książkę. Bo aż nieprawdopodobne, że właśnie jej mogło się to wszystko zdarzyć.

Nie ma żalu do towarzyszy z komisji kontroli partyjnej. Czas był gorący, społeczeństwo szukało winnych, trzeba było na kogoś wskazać palcem. Więc czy komisja miała inne wyjście?

Nie tak dawno siedziała za stołem prezydiatnym z przewodniczącym tamtej komisji. Przyjrzała mu się — zwyczajny człowiek, pewnie nawet nie taki zły.

cydują o budowie sklepu, podpisują w ciemno, projektu nie widzą na oczy. Podpisują się też pod decyzją budowy pawilonu w Rogoźnie Wielkopolskim i schodów w poznańskim „okrągliku”. No to kiedy zajmują się poważniejszymi sprawami?

Wydawało jej się, że tamte czasy minęły bezpowrotnie a tu ostatnio patrzy w telewizor, słucha jak generał Oliwa opowiada o swojej pracy. Mówi, że czyta każde pismo które przechodzi przez jego ręce, no to kiedy ten generał pracuje? I po co ma zastępów, skoro musi za nich odwalac całą robotę?

Biedny, przepracowany człowiek.

Ciekawe, co zrobiłaby gdyby jeszcze raz została dyrektorem? Jak to co? Natychmiast przystąpiłaby do budowy obiecanego przez premiera Pykę pawilonu. W 1977 roku, podczas uroczystego otwarcia bazy magazynowo-handlowej, premier powiedział: — „Od przyszłego roku chcemy wam wybudować dwa ogromne domy towarowe...” Wówczas uwierzyli mówcy i przystąpili do prac przygotowawczych. Wszystko przygotowali: projekt, plany, wykupili plac przy ul. Urszuli, tak, że wszystko jest gotowe, więc dziś nic, tylko zaczynać budowę.

— Po co nam pawilon, duży dom towarowy, skoro ciągle brakuje towaru?

I to jest właśnie ten brak wiary w ludzi młodych. Naprawdę nie wierze, że dyrektorzy od lodówek, pralek, od tkanin i odzieży będą jeździć i prosić, żeby handel coś od nich wziął? To nastąpi już wkrótce, za dwa, trzy lata. I wtedy przydałby się bardzo taki nowoczesny pawilon, do którego mogłabym wejść, wybrać meble, zasłony i firanki pod kolor, na miejscu byłiby plastycy, architekci wnętrz, za niewielką opłatą doradziliby mi co i jak ustawić w mieszkaniu. Nawet kwiatki w doniczkach mogłabym od razu kupić.

Na szczęście nikt jej takiego stanowiska nie proponuje. Zresztą chyba jednak nie przyjąłaby takiej propozycji. Wie przecież, że, jak dawniej, kierowałaby się zdrowym rozsądkiem, doświadczeniem, jest raczej pewne — groziłaby jej recydywa.

Nie przystąpi więc do budowy pawilonu, a zajmie się raczej zmianą mieszkania dla babci Nowakowej.

Babcia Nowakowa ma ostatnio szczęście. Obie jej wnuczki wskutek porażenia mózgowego cierpią na niedowłady nóg, rąk, są wiotkie, trzeba je znosić z piętra. Wnuczki wychowuje babcia jako najzdrowsza osoba w rodzinie, bo córka babci matka dziewczynki, ma chore serce. Babci ostatnio zepsuła się pral-



Gra z rzeczywistością

Rozmowa z doc. Dorotą Frąckowiak-Kapalą pianistką i pedagogiem

— Była Pani jedną z pierwszych młodych Polek, zatrudnionych w uczelniach pedagogicznych, która otrzymała adunkturę. Jest Pani na pewno pierwszą Lubuszką, która otrzymała stanowisko docenta sztuki w zakresie pianistyki. Dodajmy, że Lubuszką jest Pani od urodzenia.

— Tak, urodziłam się już po wojnie w Nowej Soli. Dziś małe dzieci bawią się zabawkami elektronicznymi; wtedy, kiedy ja byłam dzieckiem, w domu moich rodziców było pianino, ku zadowoleniu mamy śladam przy nim i w ten sposób bawiłam się. Niebawem okazało się, że nie była to zwykła zabawa, rodzice stwierdzili, choć nie byli wykwalifikowanymi muzykami, że, jak to się mówi, jest coś we mnie. Zaprowadzili mnie do pana Nalepy, nauczyciela gry na fortepianie, a on natychmiast potwierdził przypuszczenie rodziców i kazał mnie uczyć. Miałam sześć lat. Pan Nalepa był dobrym, dostępnym nauczycielem fortepianu w Nowej Soli, więc rodzice nie zwlekali z wyborem pedagoga. W trzeciej klasie szkoły podstawowej pojechaliśmy na koncert symfoniczny do Zielonej Góry, usłyszałam walec Chopina, po powrocie poprosiłam pana Nalepę, by kazał mi grać Chopina. Nauczyciel zgodził się, choć wiedział, że nie jest to program dla dziesięcioletki. Podobno nawet nieźle zagrałam to walec. W kilka dni po moim graniu Chopina rodzice przeczytali w gazecie, że w Poznaniu odbędzie się konkurs pianistyczny dla dzieci, zawieźli mnie tam. Okazało się, że mam zadatki na pianistkę.

Zainteresowała się mną pani profesor Iręna Wyrzykowska-Mendelska, powiedziała mojej mamie, że powinienam chodzić do szkoły muzycznej w Poznaniu. Łatwo powiedzieć, ale jak to zrealizować, jeśli z Nowej Soli do Poznania ponad 150 kilometrów, a ja mam

tylko dziesięć lat? Pół roku mama wiozła mnie do Poznania na korepetycje z zakresu muzyki, potem zdałam egzamin i zostałam uczennicą podstawowej szkoły muzycznej. Na początku czułam się jak gąska prowincjonalna, bo ja wychowałam w małej Nowej Soli, a moje koleżanki przygotowane muzycznie, obsłużane, córki ważnych dyrektorów, profesorów, muzyków, uczące się języków obcych, ale pod koniec nauki w szkole byłam już prymuską. Potem chodziłam do liceum muzycznego, a po jego ukończeniu z wyróżnieniem do poznańskiej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, cały czas mając za profesora panią Wyrzykowską-Mendelską.

— Szkoła średnia z wyróżnieniem, z wyróżnieniem szkoła wyższa, laury w młodzieżowych i studenckich konkursach pianistycznych, a pierwsza praca w Zielonej Górze?

— Marzyła mi się wielka kariera artystyczna, koncerty w najznakomitszych salach, nagrania radiowe i płytowe, tournée po całym świecie, ale marzenia to jedno, a rzeczywistość to drugie. Nie ja, lecz los tak chciał, że przyjechałam do Zielonej Góry. Tytuł lat daleko od rodziców, więc chciałam wreszcie być bliżej, choć gdyby ktoś obiecywał mi mieszkanie w Poznaniu, chyba bym się długo nie zastanawiała. Miałam już narzeczonego, rodzice Bogdana mieszkali w Zielonej Górze, może dlatego zgodziłam się wyjechać z Poznania. W każdym razie oba te czynniki spowodowały, że po ukończeniu studiów zamieszkałam w Zielonej Górze. Bogdan bez trudu znalazł zatrudnienie w Państwowej Orkiestrze Symfonicznej, a dla mnie nie było pracy. Po dość długich zabiegach mojego teścia, dostałam etat nauczycielki w Państwowej Szkole Muzycznej I i II Stopnia. Dziś potrafię to zrozumieć, wtedy nie chciałam pogodzić się z losem, marzenia konkursowe były najważniejsze; koncertowałam, nagrywałam, to był mój jedyny cel. Chociaż, przyznam się, w Zielonej Górze od samego początku poczułam się dobrze, przede wszystkim dlatego, że miałam gdzie mieszkać, że blisko rodziców, ale i atmosfera w szkole była przyjemna.

— To przykre, o czym Pani mówi: zdolna, wyróżniająca się pianistka nie może znaleźć właściwego miejsca pracy, nie ma też nikogo, kto by się za nią wstawiał.

— Uczelnia poznańska wykształciła wielu bardzo dobrych pianistów, a pomiędzy nimi byłam, jeśli nie najlepsza, to na pewno bardzo dobra. W tym zawodzie trzeba mieć talent i szczęście.

— Obecnie wielu młodych pianistów trafia na estradę drogą konkursów. Czy Pani nigdy nie myślała o udziale w eliminacjach do na przykład Konkursu Chopinowskiego?

— Dziś uczelnia robią wszystko, by jak najwięcej ich studentów startowało w konkursach. Wtedy polskie szkoły muzyczne nie pomagały swoim wychowankom w przygotowaniu się do konkursu. Jeśli ktoś dowiedział się o eliminacjach, musiał sam się przygotować i mógł brać udział w konkursie tylko na własną rękę. Dla nas ogromnym problemem były wyjazdy na kursy mistrzowskie. A konkursy są tą drogą, po której najbliższą na estradę świata. Wydało mi się, że Krystian Zimmermann właśnie dzięki laurów w Konkursie Chopinowskim stał się wybitnym pianistą. A Wietnamczyk Dang Thai Son? A Stanisław Bunin?

— Pomówmy o Pani sukcesach artystycznych.

— W krajowych konkursach dla dzieci i młodzieży, jeśli brałam udział, zawsze dochodziłam do finałów, zdobywając czołowe miejsca. Laury zagraniczne zaczęły się w 1972 roku w Czechosłowacji, kiedy na konkursie w Hradec Kralove zajęłam trzecie miejsce. W 1980 r. uczestniczyłam w XI Międzynarodowym Konkursie Muzycznym im. G.B. Viottiego w Vercelli we Włoszech, gdzie byłam druga. Również we Włoszech, w Seregno koło Mediolanu, na Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Ettore Pozzoli zdobyłam srebrny medal. Ten ostatni sukces cenię sobie najbardziej, między innymi dlatego, że w skład reprezentacji Polski wchodził uczestnik eliminacji do poprzedniego Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego, a ten nie znalazł się w finale.

— Dla pianisty bardzo ważne są konkursy, ale i nagrania radiowe, płytowe, recitale, udział w koncertach z orkiestrą. Istotne są nagrody, w Pani życie rysuje nawet Nagroda Twórcza Młodych „Zielone Grono”.

— Po każdym konkursie pianistycznym odbywałam tournée zagraniczne. Prócz tego występowałam w krajach nam najbliższych, m.in. w NRD, Czechosłowacji, na Węgrzech. Sama i wraz z trzema Filharmonii Zielonogórskiej koncertowałam w wielu miastach Polski.

— Komu jest trudniej być dobrym pianistą — mężczyźnie czy kobiecie?

— Mężczyźnie jest zawsze łatwiej. W przypadku fortepianu, niezbędna jest siła fizyczna, choć, moim zdaniem, nie siła rąk wydobywa się dźwięki, lecz przy pomocy techniki gry. Nie jestem ani ogromnej postawy fizycznej, jak pan wiódł, ani nie mam dużej ręki.

— Przed kilku laty recenzentka „Nadodrza” napisała o Pani: „Posiada ona duży możliwości wykonawczy nie tylko w sferze techniki, ale również dynamiki i barwy dźwięku”. Potwierdza to tylko Pani spostrzeżenie. Przygotowując się do naszej rozmowy przeczytałam wiele recenzji o Pani koncertach, wszystkie były pozytywne, co ja mówię? pochwalne! Dlaczego więc tak rzadko słyszałam Panią w radio?

— Aby osiągnąć sukces, trzeba mieć talent, być bardzo pracowitym. Bodajże Eugeniusz Pauksta mówił: sukces — to osiem procent talentu, dziewięćdziesiąt

pracy i dwa procent szczęścia. To co jest cenniejsze — być szczęśliwym, którego nikt nie uczy i nie daje, które trzeba mieć. Mój mąż, o! on ma szczęście; najpierw z Polską Orkiestrą Kameralną Jerzego Maksymiuka objechał cały świat, teraz z orkiestrą Agnieszki Duczmal rozsławia polską muzykę. Czy mieszkając w Zielonej Górze, skąd do najważniejszych centrów muzycznych daleko, można osiągnąć sukces artystyczny? Można, pod warunkiem, że jest się najlepszym przykładem. Nie miejsce zamieszkania decyduje o powodzeniu artystycznym, ale talent i pracowitość, no i to, co pospolicie określamy jako szczęście.

— Co jest najważniejsze w życiu pianistki?

— Koncertowanie. Nie wyobrażam sobie tylko jako pedagoga i pani domu oczekującej powrotu męża, wychowującej dzieci. Koncertowanie rozwija mnie i podtrzymuje na duchu, daje satysfakcję, zobowiązuje do pracy nad sobą.

— Pianista powinien koncertować w salach filharmonicznych, lecz i nagrywać.

— Po sukcesach we Włoszech pani rektor Jazwińska zaproponowała mi nagrania radiowe dla audycji „Polscy laureaci międzynarodowych konkursów” i tak się zaczęła moja już wieloletnia współpraca z radiem. Na pierwszej sesji miałam nagrać dwadzieścia minut muzyki, nagrałam czterdzieści, wszystkie utwory zostały przyjęte przez Polskie Radio jako nagrania archiwalne i są prezentowane na antenie. Po pierwszych nagraniach dyrektor Hass porównał mnie z Wandą Landowską, to już ogromne wyróżnienie. Potem wielokrotnie nagrywałam dla Polskiego Radia, ostatnio w lutym tego roku. Nagrywałam także z orkiestrą Agnieszki Duczmal i Polską Orkiestrą Kameralną.

— Czyje utwory lubi Pani grać najbardziej? Chopina?

— Chopina nie gram wcale, uważam, że obecnie jest tylu wspaniałych interpretatorów muzyki Chopina, że nie powinienam wkraczać do tej rywalizacji. Kiedyś grałam Chopina często, koncertowałam w Żelazowej Woli, w innych salach. Obecnie bardzo lubię grać Beethovena, Liszta, Haydna. Ci, którzy mnie słuchali, twierdzą, że jestem predysponowana do grania klasyków. Muszę się przyznać, że nie interesuje mnie twórczość kompozytorów współczesnych, ale to ze względu na trudności w odczytaniu zapisu nutowego.

— Pani docent, czy praca pedagogiczna w Instytucie Wychowania Muzycznego Zielonogórskiej WSP nie przeszkadza Pani w rozwijaniu swojego talentu?

— Nie. Lubie pracę ze studentami, szczególnie wtedy, kiedy osiągam sukcesy pedagogiczne. Być może w akademii muzycznej sukcesy wychowawcze byłyby ważniejsze, kształciłabym pianistów, miałabym satysfakcję, że moi wy-

chowankowie zdobywają laury w konkursach. W szkole pedagogicznej przygotowuję do zawodu przyszłych nauczycieli wychowania muzycznego, od których zależy to, czy na moich koncertach sale nie będą puste. Jest to bardzo odpowiedzialne zadanie, bowiem od wrażliwości nauczyciela zależy poziom wiedzy o muzyce dzieci i młodzieży, potrzeba kontaktu z każdą sztuką, nawet malarstwem czy architekturą. Współczesny świat, jeszcze idzie drogą tradycyjnego humanizmu, ale coraz bardziej jest uzależniony od techniki. Dziś prawie każdy ma telewizor, adapter, magnetofon, może włączyć urządzenie i w dowolnym czasie posłuchać muzyki, bez potrzeby wychodzenia z domu. Ja pragnę, by ludzie słuchali tej muzyki, ale i chodzili na koncerty.

— Jak Pani sądzi, dlaczego sale koncertowe obecnie nigdy nie są pełne? Jesienią ubiegłego roku w Zielonej Górze miał swój recital znakomity pianista Piotr Paleczny, sala Filharmonii nawet w połowie nie była zapełniona.

— Gdziekolwiek jestem, dostrzegam to samo. Być może współcześni Polacy mają inne sprawy do załatwienia, inne problemy do rozwiązania, choć chyba jest to tylko moje szukanie usprawiedliwienia. Małego zainteresowania muzyką czy każdą inną sztuką nie należy tłumaczyć kryzysem w sferze gospodarki. Niedawno występowałam z orkiestrą pod batutą Karola Teutcha, wybitnego dyrygenta, ludzie powinni, jak to się mówi, walić drzwiami i oknami, a jednak sala była pustawa. Może jest to tak ze nieumiejętności propagowania muzyki, może nasze środowisko nie umie dotrzeć do słuchaczy?

— Jest Pani pianistką, pedagogiem, matką, żoną, gospodynią, to musi być nietatwe?

— Kobieta, czy to pianistka, czy sekretarka, czy dyrektorka, zawsze jest w trudniejszej sytuacji niż mężczyzna. W moim przypadku sytuacja jest o tyle skomplikowana, że mąż ciągle przebywa poza domem, choć, gdy wraca z tournée, jest najlepszym ojcem i mężem, kucharzem, hydraulikiem, malarzem, ale kiedy Bogdana nie ma w domu, wszystko spoczywa na moich barkach. Gdyby nie pomoc mojej Kochanej teściowej, nie wiem, jakbym sobie radziła. Przecież ja muszę mieć czas dla dzieci i dla siebie, muszę koncertować, przygotowywać się do nagrań radiowych, do zajęć ze studentami. Nie osiągnęłam wielkiego sukcesu artystycznego, chciałam, pragnęłam dużo grać, udało się to mojemu mężowi. Na razie to mi wystarcza; jego sukces jest i moim szczęściem.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał ALFRED SIATECKI

Muzeum Etnograficzne w Zielonej Górze, z siedzibą w Ochli, istnieje w świadomości społeczeństwa zielonogórskiego jako skansen, budownictwa ludowego. Nawet niektóre instytucje nazywają nas nadal skansenem, a nie — muzeum — jak gdyby nie przyjmując do wiadomości faktu, że od stycznia 1982 roku dotychczasowy Zielonogórski Park Etnograficzny został przekształcony w samodzielne Muzeum Etnograficzne o profilu działania szerszym niż skansen. Być może nie byłoby muzeum tylko z nazwy i mógłoby zaprezentować społeczeństwu całokształt kultury ludowej, do czego upoważnia nas dorobek wielu

darować. Brak pomieszczeń na wystawy stałe, na magazyny, na pracownie coraz bardziej nęka naszą placówkę. Decyzją Wojewody Zielonogórskiego dwór został przekazany Muzeum. Zisił się więc pierwszy etap muzealnych marzeń: otrzymaliśmy dwór. Wkroczyliśmy w drugi, najtrudniejszy etap organizowania remontu i jego prowadzenia, etap najdłuższy, który ma nas do doprowadzić do zamierzonego celu: zagospodarowania dworu dla celów muzealnych, otwarcia wystaw stałych i udostępnienia ich społeczeństwu. Na ten moment musimy jednak jeszcze poczekać.

Dokładnie w 300 lat po rozpoczęciu budowy, to jest w 1984 roku, rozpoczęliśmy remont. Może to dobra wróżba? Skoro dwór stawiano trzy lata, może my w takim samym czasie przywrócimy mu dawną świetność? Dziś wiemy, że te marzenia były nazbyt śmiałe i że czas remontu, niestety, przekroczył owe magiczne trzy lata, choćby dlatego, że w tak krótkim czasie nie otrzymamy środków wystarczających do przeprowadzenia tak szerokiego zakresu robót.

Trudności nie brakuje. Na terenie gminy Zielona Góra, podobnie jak zresztą prawie wszędzie, brakuje mieszkań i lokatorów, którzy zajmują część dworu, dotąd nie zostali wyprowadzeni. Korespondencja w tej sprawie pomiędzy Muzeum a Urzędem Gminy a od 1982 roku bez większych rezultatów. Z prac remontowych wykluczono część dworu zamieszkaną przez lokatorów, co utrudnia organizowanie robót budowlanych. Zły stan budynku stanowi poważne zagrożenie dla obecnych mieszkańców dworu. Przeżyliśmy już chwile niepokoju, gdy w jednym z pomieszczeń użytkowanych jako kuchnia oderwał się fragment dekoracji stropu i spadł na podłogę. Dobrze, że nie doszło do tragedii. Wstrzymanie remontu nie zmniejsza zagrożenia, zwiększy jedynie niepokój o cały obiekt, który nie remontowany ulegnie całkowitej zagładzie. Sytuacja taka spędza sen z

powiek, choć to nie Muzeum jest odpowiedzialne za wykwaterowanie.

Kto prowadzi prace budowlane wie, ile trzeba wykonać zabiegów, ile starań, żeby zapewnić im logiczną kolejność i właściwe tempo. Głównym wykonawcą robót budowlanych jest Zakład Budowlany inż. Artura Krupki. Zadania firma państwowa nie chciała podjąć się prac remontowych w dworze, (między innymi i z powodu lokatorów). Optymizm inż. A. Krupki jest bezprecedensowy: nie zraża się żadnymi trudnościami, a ponadto nie narzeka, gdy kasa Muzeum jest pusta i musi on poczekać na realizację przedstawionej faktury. Wiadomo, kultura jest dotowana, a dotacja nie jest nieograniczona. A często chciałoby się zrobić więcej niż można.

Na czas remontu zdjęto i zabezpieczono cenne dekoracje. Prace te wykonała firma specjalistyczna Arpex-West z Poznania. Było to konieczne ze względu na potrzebę wymiany stropów, ich wzmocnienie i przystosowanie do celów muzealnych. Wytrzymałość stropów w salach wystawowych musi być znaczniejsza niż w apartamentach, zamieszkiwanych kiedyś przez kilkuosobową rodzinę właściciela dworu. Dekoracje czekają na ich ponowne zamontowanie, złożone tymczasem w pomieszczeniach, przyznanych Muzeum na ten cel przez Urząd Gminy w Zielonej Górze.

W toku naszych działań wokół rewitalizacji dworu stykamy się z różnymi ludźmi. Na ogół są to ludzie życzliwi, lecz wielu nie wierzy w powodzenie naszych przedsięwzięcia. Wiadomo przecież, że każde większe zadanie wymaga podjęcia pewnego ryzyka. „Zwycięstwo bez możliwości klęski, jest zwycięstwem bez chwali” — pisał Seneka. Trudny mobilizują do działania. Jako Muzeum Etnograficzne czujemy się zobowiązani do szerokiego zaprezentowania kultury ludowej regionu, a stale mamy związane ręce. Stąd niepokój, to dopominanie się o fundusze: jako pracownicy Muzeum wiemy, że urządzić nie i zagospodarowanie dworu w Ochli jest naszym „być albo nie być”.

Odrestaurowanie dworu w Ochli ma podwójną korzyść: uratowanie od zniszczenia cennego zabytku barokowej architektury i zapewnienie placówce upowszechniania kultury budynku od powiadającego randze tej instytucji. Dlatego liczymy na poparcie naszych poczynań i w znacznej mierze już je mamy. Spodziewamy się, że wykwaterowanie lokatorów — ten niewątpliwie punkt naszych kłopotów — zostanie przeprowadzone, a przyznawane środki pozwolą na uczynienie następnego kroku na drodze do „prawdziwego” muzeum.

BARBARA KOŁODZIEJSKA

DWÓR W OCHLI

letniej pracy, od momentu powołania muzeum zaczęliśmy starania o własną siedzibę, godną miana tej instytucji.

Był pogodny ciepły dzień czerwcowy, gdy udałam się do Ochli, aby obejrzeć dwór. Droga wiodła polnymi ścieżkami; szłam około 20 minut — a więc krótko, bo odległość od skansenu do dworu w Ochli jest nieduża. Otoczenie dworu nie jest atrakcyjne: z regularnej niegdyś zabudowy czworobocznej, przedstawionej na rycinie z XVIII wieku, pozostał dwór i fragment oficyny. Dziś gnie wśród budynków obcych pod względem chronologicznym i funkcjonalnym, nie mówiąc o walorach architektonicznych. Najbliższe otoczenie dworu też nie piękne: plotki i komórki obecnych lokatorów i gdzie się da — gruz i śmieci. Patyna czasu warła na dworze znaczne piętno; reszty dokonała bezzmysłna ludzka ręka.

Zachwyliłam się tym budynkiem, choć popękane ściany groziły zawaleniem, otwory okienne straszyły pustką, a w pomieszczeniach na piętrze wiatr szarpał porożewianą białą aktualnych mieszkańców dworu. Proces dewastacji oszczędził na szczęście znaczną część dekoracji: pozostały trzy kominki, a na stropach przepiękne ornamenty stiukowe.

Mimo tego przykrego widoku wyobraziłam sobie dwór jako przyszłą siedzibę muzeum i od tej chwili nie mogłam już myśleć o niczym innym, jak o tym, aby go pozyskać i zagospo-

Dwór w Ochli został wzniesiony w latach 1684—1687 jako fundacja Ottona Fryderyka von Unruha. Jest on jednym z ciekawszych przykładów śląskiego budownictwa barokowego. Zlokalizowano go na niewielkim wzniesieniu w pobliżu kościoła o średniowiecznej trójce. Pierwotnie przed dworem od strony południowej był rozległy dziedzińiec, otoczony budynkami gospodarczymi, zaś od strony północnej — piętrowy dom, wokół którego rozciągał się sad. Dwór posiada około 1000 m kwadratowych powierzchni użytkowej, nie licząc piwnic i strychu, które mogą być również wykorzystane jako magazyny. Cechą charakterystyczną dworu, cenną dla nas, jest to, iż zachował on do chwili obecnej prawie niezmienniony wewnętrzny układ przestrzenny. Zachowały się też dekoracje o symbolicznej wymowie. Zainteresowanych od syłam do opracowania Róży Kasinowskiej (*Dwór w Ochli*, „Kwartalnik Architektury i Urbanistyki”, t. XIX, R. 1974, z. 2).

Wróćmy jednak na razie do etapu drugiego — do rewitalizacji obiektu. Prace rewitalizacyjne poprzedziło opracowanie dokumentacji, które wraz z załatwianiem formalności dotyczących rozpoczęcia remontu trwało rok. Dokumentację wykonała Pracownia Projektowa PKZ w Zielonej Górze. Środki finansowe na remont dworu przekazuje corocznie Wojewódzki Konserwator Zabytków.

Dwór w Ochli — widok od frontu. Fot. ALEKSANDER MACKOWIAK



Jednej z owych noc na Capri ma taki oto sen. Zdaje mu się, że na spokojnym, samotnym szlaku spaceruje wzdłuż Tragary, śledzi tajemniczą kobietę, która w pewien sposób przypomina żonę. Otulona jest wielką, czarną peleryną: żona na krótko przed śmiercią miała bardzo podobną. Tak jak żona, kobieta ma długie włosy blond rozłożone na plecach niczym wachlarz. Poza tym porusza się w taki sam sposób: niepewny, zamieszany, nieswiadomie prowokacyjny. Wreszcie, i ten szczegół jest decydujący, ma gołe nogi, domyśla się tego po kolorze łudek wylaniających się z kozaków, o świetlistej bieli, której żadna pończocha nie mogłaby naśladować. Był to jej zwyczaj: jeśli zakładała futro lub płaszcz albo okrycie wystarczająco obszerne i ciepłe, często nie dbała o to, by mieć coś pod spodem; mówiła, że czuje się swobodniej i pewniej. Również owego poranka na via Veneto, gdy pochylała się nad poręczą i unosiła płaszcz nad biodra, mógł stwierdzić, że nie ma nic na sobie, nie poza wysokimi czarnymi kozakami na czerwonych obcasach.

We śnie, postępuje za ową kobietą, przypominając tak bardzo jego żonę, niosąc w sobie decyzję mężczyzny, który wie czego chce i ma pewność, że to dostanie. Czyż nie ma w kieszonku ścisłego kanonika mocno za rękę, krótkiego ostrzeżenie noża? A zresztą tym razem nie może mu ona uciec: szlak Tragary kończy się w miejscu widokowym Faraglioni; tam kobieta zdana będzie na jego łaskę, zapięta w pułapkę, dalej pójść już nie można. Ten szczegół szlaku Tragary, wysłanego na podobieństwo ślepego zaułku, zdumiewa go przy przebudzeniu. W rzeczywistości, szlak nie jest ślepym zaułkiem, ale ogłuszenie wokół wyspy aż do miejscowości Arco Naturale. Lecz we śnie, sądzi, że jest to ślepy zaułek, tak jak niegdyś, w rzeczywistym życiu, uważał żonę za schwytaną w pułapkę małżeństwa, pozornie bez wyjścia.

Sen trwa; kobieta i on, postępując jedno za drugim, wychodzą w końcu na plac z piękną panoramą. Kobieta, jakby dotrzymując milczącej z nim umowy, podchodzi od razu do poręczy i jednocześnie wyciąga rękę do tyłu, aby unieść pelerynę nad biodra, dokładnie tak, jak to robiła żona owego ranka, na schodach przy via Veneto. On, przepełniony radością, zbliża się, wymusza członkę ze spodni, przygotowując się do penetracji. Rozczarowanie! Pośladki i uda kobiety okazują się zamknięte i jakby stopione w białą, matową powłokę; tam, gdzie spodziewał się ujrzyć jej narząd, widzi tylko napiętą, hermetyczną tkaninę gorsetu. Wówczas bez wahania wyciąga rękę, spokojnie i precyzyjnie rozciąga głębię gorsetu w punkcie nieco poniżej pośladków. Teraz jest zadowolony: poprzez pęknięcie gorsetu widzi ranę zadana jego nożem, o brzegach błędnoróżowych i głębszych warstwach ciała coraz bardziej jaskrawych aż po krwistą czerwień. Ale oto, w tym samym momencie, gdy zbliża się do rany i już ma w nią wejść, budzi się.

Z tego snu pozostaje mu przede wszystkim wspomnienie postaci kobiety w czarnej pelerynie, która kroczy w zamysleniu pustą dróżką. Tak więc, kiedy następnego wieczoru idzie na spacer w stronę Faraglioni i widzi w dole, daleko, postać kobiety otulonej ciemną peleryną, z blond włosami rozrzuconymi na plecach, jest natychmiast pewien, że to kobieta ze snu. Tak, żona „przysłała mu się”, by go uprzedzić, że spotka ją pod postacią kobiety w czarnej pelerynie, na szlaku Tragary.

Wśród tych rozmyślań przyspiesza kroku, starając się dogonić nieznajomą. Noc jest ciepła i wilgotna; morski wiatr porusza nielicznymi lampami zawieszonymi w regularnych odstępach; kobieta raz jest w pełnym świetle, raz w cieniu, wydaje się, że idzie powoli, ale nie wiedzieć czemu, odległość między nimi nie zmniejsza się, tak więc dogania ją w końcu dopiero na tarasie widokowej Faraglioni. Tak jak we śnie, ona podchodzi do balustrady i spogląda w dół, w ciemną przepaść, z której wylaniają się, niepewne i olbrzymie, czarne cienie dwóch wielkich skał. Jak we śnie on podchodzi do niej bardzo blisko, niemal muskając ramieniem jej ramię. Zdaje sobie sprawę, że zachowuje się jak wariat, ale towarzyszy mu coś w rodzaju przeczuwanej pewności, która nim kieruje: wie na pewno, że kobieta go nie odrzuci. Jednocześnie, udając, że pograżony jest w kontemplacji panoramy, obserwuje ją ukradkiem. Jest młoda, może w tym samym wieku co żona, twarz ma zresztą nawet trochę podobną: czło okrągłe i wypukłe, oczy nieco wklęsłe, koloru chłodnego, stalowego błękitu, nos zadarty, wargi pełne i lekko cofnięte pod bródek. Tak, przypomina żonę, w każdym razie on pragnie, żeby przypominała. Nagle, z naturalnością i swobodą, odzywa się do niej: — Czy pani wie, że tej nocy mi się śniła?

Jak przewidział, kobieta nie dziwi się i nie odtrąca go. Odwraca się, przygląda mu się przez moment, po czym pyta: — Ach tak? I co robiła?

On odpowiada: — Jeśli pani chce, opowiem. Ale musi pani obiecać, że się nie obrazi. A przede wszystkim, że nie pomyśli, iż sen miałby mi posłużyć za pretekst, żeby się do pani zbliżyć. Zrobiłbym to tak czy owak. Miałem niebezpiecznie stracić żonę, która bardzo kochałam. Pani jest do niej podobna. Porozmawiałbym z panią nawet bez snu.

Kobieta ogranicza się do słów: — W porządku. Proszę więc opowiedzieć mi sen.

On opowiada jej sen, bez zakłopotania, nie opuszczając żadnego szczegółu, spokojnie i dokładnie. Kobieta słucha go uważnie. Na koniec mówi: — Wszystko to mogłoby być nawet stać, poza jednym szczegółem.

On zwraca uwagę na zdanie „mogłoby być nawet stać” i pyta zmieszany: — Jakim?

— Ja nie noszę gorsetu.

Ton kobiety jest intymny, porozumiewawczy, niemal prowokacyjny. On na nią patrzy i widzi, że wytrzymuje jego spojrzenie z dziwnym wyrazem godności jednocześnie desperackiej i wyzywającej. Jakby chciała dać mu do zrozumienia, że wie czego on pragnie i nie odrzuci go, przeciwnie, gotowa jest go zadowolić. Potem, opierając się wciąż o balustradę, kobieta odwraca się do niego, mówi cicho tonem luźnej i przypadkowej rozmowy: — Teraz, niech mi pan opowie o swojej żonie. Proszę powiedzieć, w czym ją przypomina.

Niespodziewanie on jest tak podniecony, że nie może nic mówić. W końcu odzywa się: — Jest pani bardzo podobna do niej fizycznie. Ale obawiam się, że przypomina ją pani także w czymś, co ostatnio nas dzieliło.

— Moja żona już na rok przed śmiercią przestała ze mną współżyć.

— Dlaczego?

— Nie wiem, nigdy tego nie wiedziałem. Mówiła tylko, że nie czuje potrzeby. A potem umarła.

Kobieta milczy przez chwilę. Po czym komentuje z niespodziewaną surowością: — Kto wie, czego pan od niej wymagał. Prawdopodobnie tego, o czym snił pan ubiegłej nocy.

Zdziwiony i zadowolony z przenikliwości kobiety, wykrzykuje: — Tak, chciałbym, żeby robiła właśnie to. Ale to nie był sen. To coś, co rzeczywiście zrobiliśmy jakieś dwa lata temu.

— Jak to? Zrobiliście tu tutaj, przy tej balustradzie?

— Nie, na schodach jakiegoś domu przy via Veneto, pewnego ranka, gdy spotkaliśmy się przypadkowo.

— Na schodach? Na ostatnim piętrze wychodzącym na taras?

— Skąd pani wie?

— Ponieważ przypominam pańską żonę, również w pewnych upodobaniach.

— Pani także lubi robić to na stojąco, odwrócona plecami, jak w moim śnie.

— Tak.

On milczy; po czym decyduje się mówić jej ty: — A zrobiłabyś to ze mną. Tym razem ona na niego patrzy z tym niezrozumiałym wyrazem godności, jednocześnie urażonej i pragnącej porozumienia. W końcu z jej pełnych, nadających warg pada: — Tak.

— Nie odmówiłabyś, tak jak ona?

— Nie.

— I zrobiłabyś to teraz?

— Tak, teraz, ale nie tutaj.

— Milczy przez chwilę; po czym podejmuje, bardziej rozmowna:

Kobieta w czarnej pelerynie (2)

Alberto Moravia



rys. Ryszard Ryckowski

— Chodźmy do hotelu. A właśnie, nawet nie zauważyłaś, że mieszkamy w tym samym hotelu. Ja już cię widziałem i dlatego nie byłem zbyt zdziwiony, kiedy się do mnie odzywałaś. On przyjmuje z ulgą rozmowny ton. Pyta: — Ale dlaczego nie widziałem cię nigdy w jadalni?

Ona odpowiada sucho: — Nigdy tam nie chodziłam, jadłam w pokoju. — Wtedy on zaczyna się obawiać, że zmieniła zdanie z jakiegoś nieznanego powodu i pyta zaniepokojony: — Więc jak zrobimy?

— Tym razem ona odzywa się znów porozumiewawczo: — Zauważyłaś zapewne, że każdy pokój ma balkon, wychodzący na ogród. Wszystkie balkony mają poręcz. Tej nocy przyjdzie do twojego pokoju, pochyli się z dwiema rękami na poręcz i zrobimy to, co zrobiliśmy z twoją żoną na poddaszu przy via Veneto.

Mówiąc to wyprostowuje się i rusza z miejscem. On postępuje za nią, nie może powstrzymać słów: — Tak się boję, że w końcu nie przyjdzie.

Nie wie, dlaczego to mówi. Może, by wprowadzić realistyczną nutę do tego, co zbyt jest jeszcze związane ze snem, i tym, co go zrodziło. Ona nie nie odpowiada, ale ledwie opuścił plac i ruszył szlakiem Tragary, zatrzymuje się, łączy dwie dłonie na szyi, rozpinając kołnierz, rozchyła na moment pelerynę. Wówczas on widzi, że jest pod spodem zupełnie naga. Kobieta pyta: — Czy uważasz, że moje ciało jest także podobne?

W dziwny sposób, zwiędziony być może pomieszczeniem nie może nie zauważyć pewnych podobieństw: tak sam blust, opuszczony i mocny, tak sam brzuch, okrągły i pełny, wystający nad łonem, tak samo gęste owłosienie, krótkie i kędzierzawe, koloru piwobłond. Także pewne zaczerwienienie od krwi, wykwitające pod przezroczystą skórą, na udach i na piersiach, przypomina mu żonę. Kobieta, zapięta peleryną, mówi spokojnym, wyzywającym tonem: — Teraz

Sceny miłosne w literaturze pięknej

— Ale ty tak wychodzisz na spacer, naga? — Spieszmy się, tu na Capri jest ciepło, otulił się więc w pelerynę i wyszedł.

O tej chwili nie odzywają się więcej do siebie, idą szybko, oddaleni, jak by się nie znali. Ona ma swój zwykły, błędny i nieswiadomie prowokujący krok, oczy wbite w ziemię, jakby rozmyślając; on natomiast od czasu do czasu zerkna na nią ukradkiem, nie wierząc jeszcze niemal w ich układ; jednocześnie roztrząsa intensywnie pewien dziwny problem: w jaki sposób uda jej się uchwylić dwiema rękami za poręcz balkonu, pochylając się do przodu, kiedy cała poręcz obrośnięta jest kłującym pnączem? Długo się zastanawia, w końcu mówi sobie, że będzie musiał przeciąć pnącze nożem, który ma przy sobie. Potrzebne są nożyce ogrodnicze, których nie ma, będzie musiał je kupić. Patrzy ukradkiem na zegarek i widzi, że brakuje tylko dwudziestu minut do zamknięcia sklepów. Nagle odzywa się do kobiety: — Kiedy przyjdiesz?

— Dziś w nocy.

— No tak, ale o której godzinie?

— Późno, około północy.

— Chciałbyś zapytać, dlaczego tak późno. Ale spiesz się, bo zbliża się pora zamknięcia sklepów; mówi jej: — Mój pokój jest na drugim piętrze, numer 11. — a ona odpowiada: — Wie działam. Stałam za tobą dziś rano, gdy prosiłeś portiera o klucz.

Stoją już naprzeciw bramy hotelowej. On ujmując jej rękę i mówi: — Wiesz, nie powiedziałam ci jeszcze jak masz na imię.

— Nazywam się Tania.

— Otóż żona miała na imię Antonina. Myśli: — „Tonia i Tania, prawie to samo imię”; i nie może powstrzymać się od okrzyku: — Niemożliwe!

— Co takiego?

On, zmieszany, tłumaczy: — Nic, nie mogę jeszcze uwierzyć, że naprawdę istniejesz, nie ufam niemal własnym oczom.

Ona po raz pierwszy uśmiecha się do niego; gładzi go po twarzy; i z „do zobaczenia” na ustach wbiega za bramę hotelowego ogrodu.

On, w wielkim pośpiechu, obawiając się, że właśnie zamkają sklepy, podchodzi teraz w górę, uliczką prowadzącą na plac w Capri. Wie, dokąd iść; już na placu przechodzi pod łukiem, idzie kawałek wąskim i ciemnym zaułkiem. Oto sklep z narzędziami. Wchodzi i kieruje się, pomiędzy pudłami pełnymi metalowych przedmiotów i stojakami wypełnionymi nożami, nożycami i innymi żelaznymi przyrządami, w stronę kobiety, patrząc na nią z daleka. Mówi do niej: — Chciałbym kupić nożyce ogrodnicze.

— Małe czy duże?

— Średnie.

Wracając do hotelu, wchodzi do pokoju, idzie prosto na balkon, ściąkając w dłoni nożyce. Jest już zmrok; w ciemności maca pnącze i widzi, że wyrasta ku górze wachlarzowato z cemenowej donicy, tak więc, żeby kobieta mogła oprzeć się łatwo o balkon, nie wystarczy obciąć gałęzie, które porastają poręcz, lecz trzeba będzie także odsunąć donicę. Waha się w obliczu operacji, wyglądającej na kłopotliwą i trochę maniacką; wreszcie przezwąta w nim obraz kobiety z peleryną podrzuconą na biodra, która opiera się o poręcz; i z zapalem zabiera się do pracy. Najpierw obcina wszystkie najwyższe gałęzie i gałązki; po czym, ogolociwszy poręcz, przystępuje do usuwania donicy. Nowy problem: gdzie ją postawić, by nie rzucała się w oczy i żeby kobieta nie pomyślała, że ta naga i oczyszczona poręcz przygotowana została specjalnie dla niej i obsesyjną premedytacją? W końcu decyduje się odsunąć ją jak najdalej, w głąb balkonu, a potem wyrzucić wszystkie te gałązki i gałęzie, które rozrzuścił po tarasie. Jest właśnie w trakcie przesuwania donicy, gdy nagle, w pokoju dzwoni telefon.

Biegnie do nocnej szafki, rzuca się na łóżko, zdejmując słuchawkę, podnosi ją do ucha i z początku nic nie słyszy. Lub raczej nie, co przyjeżdża słowa. W słuchawce ktoś szlocha, czy niać bezskuteczne wysiłki, by mówić. On powtarza: Halo, halo — i wtedy, w końcu, z burzy szlochów wynurza się głos kobiety, która mówi wszystko jednym tchem: — Przepraszam, przebac mi ale nie przyjdę, ponieważ mój mąż umarł dopiero miesiąc temu i ja, kiedy powie działas, że twoja żona nie żyje i że jestem do niej podobna, miałam nadzieję zastąpić ją sobą, a mojego męża toba. Ale teraz czuję, że nie mogę, to silniejsze ode mnie. Nie mogę, nie mogę, przepraszam, wybacz mi ale nie mogę, naprawdę nie mogę.

Powtarza jeszcze kilka razy owo „nie mogę” wśród szlochów, które znów zaczynają tamować tok mówienia; po czym, z suchym trząskiem połączenie się przerywa. On patrzy przez chwilę na słuchawkę, a potem ją odkłada.

Teraz pozostaje w nieruchomym zamyśleniu. A więc, mówi sobie, kobieta była jedną z tych wdów, które nazywane są popularnie niepożycionymi. Przez chwilę miała nadzieję, że jest w stanie zdradzić pamięć męża z nim, który w gruncie rzeczy liczył na taką samą wyzwoleńczą zdradę. Ale potem nie

była do tego zdolna i tak dwoje zmierzających do siebie silniejszymi, a on i kobieta pozostali każde ze swoim zmarłym. Na tę myśl, ogarnia ją duszę poczucie bezsilności. Widzi siebie samego związanego ze śmiercią, już nie poprzez rozpacz, ale przez niemożność kontynuowania bez żony własnego życia. To co łączy go ze śmiercią, nie jest miłością, lecz niemożnością po kochaniu kobiety innej niż ona. Dokładnie tak jak Tania, on nie „może” zdradzić pochowanej małżonki. W świetle tego stwierdzenia, poznawanie kobiety, która byłaby podobna do żony, nabiera nagle żgnębnego znaczenia. Przypomina sobie, że czytał w jakiejś przygodowej powieści dla chłopów i marynarzy, który zabił swojego towarzysza, wrzucony został do morza żywy i przywiązany mocnym sznurem do ciała swojej ofiary. I oto on jest tym marynarzem. Połączony ze zmarłą nierozzerwalnymi więzami pamięci, za tonię w głębinach życia, spływając pionowo wiek za wiekiem, aż na dno czasu. Ma wrażenie, że się dusi, wstaje z łóżka, na które rzucił się, by przeprowadzić rozmowę telefoniczną, idzie do łazienki, rozbiera się, wchodzi pod gorący strumień prysznicy. Kto wie czemu, podczas gdy strumień go zalewa, spozostęga, iż ciągle marzy, że kobieta, skruszona, zapuka do drzwi. Drzwi są otwarte, mogłaby wejść do pokoju niemal po kryjomu, nie widząc przyglądać się, jak on całkiem nagi obraca się pod prysznicem, po czym zrobić krok do przodu i wyciągnąć rękę, by schwycić jego członka, jak to już uczyniła żona na poddaszu domu przy via Veneto. Uderzony siłą tego wyobrażenia, zakreca gwałtownie prysznic i wyprostowany, cały jeszcze mokry, patrzy na brzuch i dostrzega, że członka podnosi mu się powoli, nabrzmiały i duży, ale jeszcze nie stwardniały, minimalnymi, prawie niewidocznymi potrzasknięciami, w ten swój władczy i autonomiczny, który wskazuje na mroczną uporczywość pragnienia. Nie może więc powstrzymać się od przeciągnięcia ręką pod jarami, z których zdaje się wypływać siła podnosząca jego członka. Ujmuje go w dłoń, twardo i pomarszczone, jakby je wazył; po czym podnosi penis, otacza go pierścieniem dwóch palców i ścisną. „Co robisz?”, mówi sobie, „teraz się masturbuję?”. Wychodzi z łazienki, wkłada szlafrok, przechodzi do pokoju, rzuca się na łóżko i zamyka oczy.

I oto natychmiast widzi balkon i ten fragment poręczy, który odczytał z pnączy. Oto kobieta w czarnej pelerynie wychodzi na balkon, zbliża się do poręczy, pochyla do przodu, rękę wyciąga do tyłu i podnosi pelerynę na biodra. Ale obraz białych pośladków otoczonych czernią peleryny trwa tylko chwilę, po czym się rozpływa i powraca z tymi samymi gestami; kobieta wychodzi na balkon, zgina się nad poręczą, wyciąga do tyłu rękę. Nowe rozproszenie, nowy identyczny obraz. Scena powtarza się jeszcze wiele razy, ale nigdy nie wychodzi poza gest ręki, która podnosi pelerynę; w tym miejscu, tak jakby fala mgły wdzierała się między niego i kobietę, obraz zaciemnia się, odpływa. Zupeli nie nagle on otrząsa się z drętwoty tego obcej sygnego powtórzenia, otwiera oczy, widzi, że członka już sterczy, w stanie całkowitej erekcji, sztywny i zakrzywiony, wystając poza polę szlafrocka; wówczas, niemal nie zdając sobie sprawy, podchodzi do okna, odsuwa zasłony, wychodzi na balkon.

Naprzeciw niego, masa drzew ogrodu rysuje się czarno na tle ciemnego nieba, na którym domyślić się można rzadkich, białych i postrzępionych chmur sroczka, zawieszonych i nieruchomych w bezwietrznym powietrzu. On idzie z ręką na penisie, ujmując go w dłoń, pociągając palcami po jego wystających, rozczłonkowanych żyłach, po czym, z wolna, obnaża go ze skórzanego pokrowca, pozwala wzniesie się w powietrzu nabrzmiałemu fioletowemu zakończeniu. Patrzy przez chwilę na penis, który prawie niezauważał, nie, unosząc się z zagłębienia ostrego owłosienia łona, potem ścisną go u nasady, przeciąga ręką aż do szczytu, powraca na dół, do góry i jeszcze raz na dół. Teraz ręką chodzi w górę i w dół rytmem powolnym i ciężkim, zatrzymuje się na jakiś czas, jakby dla wypróbowania wytrzymałości zarubienia zdającego się za chwilę wybuchnąć, ciemnoczerwonego, nabrzmiałego i błyszczącego, i znów zaczyna chodzić w górę i w dół. Orgazm przychodzi w końcu, gdy on wpatrzuje się w owe białawe i niepewne obłoki, i jest rozkoszny aż do bólu lub raczej jest palącym bólem, który staje się rozkoszą. Przy każdym wstrząsie orgazmu, gwałtowny i obfity wytrysk nasienia wpływa z członka, spada mu na rękę, ścieka na brzuch, a on nie może się powstrzymać, by nie porównać wytrysku z minimalną, ale przez to nie mniej głęboką erucją. Tak, myśli nagle, jest to wybuch vitalności, zbyt długo powstrzymywanej i w końcu uwolnionej; nie dotyczy on żony ani kobiety w czarnej pelerynie, tak jak wybuch wulkanu nie dotyczy nól i domów, które jednak zagarnia. Na koniec, właśnie tak jak przy erucji, ostatni strumień nasienia wytryska mu z członka i w tym momencie wstrząs orgazmu zagina go na poręcz, a nasienie pada daleko od niego jakby wyrzucone w próżnię, w ciemność nocy. Wówczas myśli, że kochał się już nie z kobietą z krwi i kości, ale z czymś nieskończenie bardziej realnym, choć nie cielesnym.

Stoi potem wyprostowany, patrząc na drzewa i niebo. Teraz znaczenie wydarzeń owej nocy rozjaśnia mu się w umyśle: żona umarła i ich miłość umarła; on się uwolnił i odżył. Teraz nie będzie już próbował odnaleźć żony, albo kobiety do niej podobnej; wdowa w czarnej pelerynie swoją absurdalną niechęcią uzdrowiła go z jego chorobliwej wierności. Pośród tych rozmyślań patrzy na białe obłoki zawieszane niepewnie na czarnym niebie; a jednocześnie czubkami palców zrywa z brzucha błonkę skrzepłego nasienia.

(Opowiadanie wybitnego włoskiego pisarza publikujemy za pośrednictwem „Literatury” nr 11 z ub.r., w przekładzie Anny Osmólskiej).



DEBIUTY NA CENZUROWANYM

Powiększyło się grono zielonogórskich poetów. Ostatnio Lubuskie Towarzystwo Kultury wydało — w interesującej szacie graficznej — pięć debiutanckich tomików. Nie są to jeszcze próby najwyższego lotu, ale należy im się troskliwa i krytyczna uwaga, która być może przyniesie korzyści i czytelnikom, i młodym autorom.

Najlepszym i najdojrzałym debiutem jest zbiór Kaliksta Kucharskiego „Nauka wychodzenia”. Ta przemysłowa i ciekawa językowo liryka ma bardzo cenny dar tworzenia dystansu wobec całej złożoności życia. Poeta dyskretnie operuje ironią, czasem nawet szyderstwem, i proponuje rodzaj zabawy w odkrywanie wszystkiego na nowo. Myśl sprawna i twórcza — potrafi wielokrotnie zaskoczyć i zadziwić. Probkę stylu daje już otwierający tomik wiersz „Dyskobol”:

na okładce zobaczyłem
napięte mięśnie dyskobola
mimo potwornego wysiłku
kartka
pozostała w bezruchu.

Do gry autor-odbiorca wciągnięte zostają, poza ironią, konwencje i style, np. listu, wyznania i opisu. Osmieszone bądź przejaśnione — list okazuje się paskudnym donosem — odwracając sytuację ukazując jej fałszywy wizerunek. Ma się wrażenie, iż wszędzie stoją zwierciadła krzywo odbijające otoczenie. Na szczególną uwagę zasługuje powściągliwość w tworzeniu obrazów, co bardzo uprawdopodobnia przeżycie — siła słowa oraz wrażenie dystansu zamyka się w prostocie składniowej, mimo kilku odstępstw. Dla Kucharskiego ważne są powstające skojarzenia; aluzje i reminiscencje. Odwołanie do czytelniczej wiedzy i doświadczenia stwarza szansę przeżycia w czasie lektury niebanalnej przygody intelektualnej. Dlatego istotny jest wiersz „w sprawie godota i repertuaru” z echem teatru Becketta i Różewicza oraz utworu „nauka wychodzenia”, klimatem i ryt-

mem przypominający „Apollo i Marszjasza” Herberta — z zastrzeżeniem, iż mitologiczny pojedynek przenosi się w czasie. Takie same pozostały tylko skutki walki — „przekrecone fakty nie wyszły na zdrowie”. Mniej nadzieje, że na zdrowie Kucharskiemu wyjdą klasycyzujące próby, a nauka chodzenia za mieni się w śmiałe stapanie.

Oryginalne, choć w wielu momentach niejednolite stylistycznie, są wiersze Anny Kwapisiewicz z tomiku „Con tris tezzo”. Na charakterze tej poezji dostrzegano zawziętą muzyczną profesję autorki: sztuka pojawia się w wierszach jako element autonomiczny — raz traktowany poważnie i pierwszoplanowo — „w tym swoim M-2 (...) i sterty książek z płytą MOZART-HORN QUINTEI KV. 407”, innym razem z przymrużeniem oka — „mały Chopin w bamboszach/gra ballandy do snu...”. W kilku wierszach jednak muzyka jest składnikiem świata przedstawionego. Szczególnie w „Godzinach z Brahmem”, w których opis nocy miłosnej łączy się z wrażeniami słuchowymi: „rozstrajaliśmy salony/for tepiany ciat”. „leitmotyw gadzień z czarnej symfonii rozwleczonej andante opłata moje ramiona”. Zainteresowanie sztuką rozciąga się również na plastykę — dźwięki i kolory wymieniają się lub współistnieją — tworząc uroczą wizję:

Jesień na strunach wiolonczeli
rozpostarła skrzydła
brzęz się przelewa w stoje bliskich tonów
dojrzała złotem
wibruje.

A. Kwapisiewicz jest inteligentną obserwatorką i jej ciekawsze utwory niebanalnie rejestrują wrażenia plastyczne — mowa o „Utrillo” i „Ulicy Fabrycznej”. W tym ostatnim — „oczy nie wypatrują już ogrodów prowansji”, lecz widzą domy z betonu, dziadka, gołębie, „matkę kuraz z piwoniami na polickach”. Autorka, podobnie jak Kucharski, pozwala odbiorcy na estetyczne przeżycie — poprzez świadome wprowadzanie elementów oddziałujących na zmysły wzroku i słuchu, pobudzając wyobraźnię. W tym kierunku powinniśmy — chyba owocnie — pójść poszukiwania poetyckie tych pisanych ze smutkiem wierszy.

„Struny spojrzeń” najmłodszej w gronie debiutantów — Doroty Muszyńskiej — to poezjowanie zupełnie odmienne od prezentowanych wcześniej. Jest to bowiem liryka prześlągnięta tragizmem; na ponuro, ale z patosem. Ta koncepcja własnego losu broni się w dwóch przy padkach — gdy przybiera postać aforyzmu pozwalającego czytelnikowi skonfrontować swe poglądy ze stanowiskiem autorki, bądź w momencie, gdy wiersz ma postać spowiedzi, osobistego wyznania. Zawsze dominuje w tym silna osobowość stwierdzająca m. in., że „tylko motyle/zwroć sens/ cię kim od pomyłek/kamieniom”. Właściwie można cytować wiele fragmentów. Wiersze są interesujące w swej warstwie filozoficznej jako zapis autentycznego przeżycia — strachu egzystencji. Gorzej natomiast jest z utworami, gdzie

ja liryczne ustępuje miejsca sytuacji lub obserwacji: wiersze o panu, który ma się w co ubrać, i — sekretarce — są najsłabsze w zbiorze. Autorka niewiele ma w nich odkrywczego do powiedzenia. Kiedy jednak dochodzi do próby pogodzenia faktu z refleksją — D. Muszyńska zrzuca smutną maskę i podarty płaszcz Konrada, by spokojnie, z zadumą i niebanalnością spojrzeć na życie, które nie jest takie czarne:

Jestem kolaborantem
kolaboruję z odbiciem
po drugiej stronie lustra

uśmiechamy się tajemniczo
pracujemy na rzecz wolności.

O ile Muszyńska lekko zbliża się do dotychczasowego samoswiadomości i w wyżej cytowanym wierszu jest najlepsza w całym swym tomie, to Ryszard Jonaczek w „Dziurze aniołów” z tej pozycji podejmuje wszystkie próby zrozumienia i oswolenia świata. Odbija się to poprzez ciągłe odkrywanie przeciwności, życie zbudowane jest z antynomii, ale pomiędzy „tak” i „nie” jest jeszcze wiele subtelnych odcieni owych znaków. Na przykład matka to „kobieta, której wydarłem głos” i zarazem ktoś szukający „adresu/szczególnie przy słowie/kocham”. Gdy antynomie zaczynają w wierszu dominować — dochodzi do ich uporządkowania w formie niemal barokowej wyliczanki, jak w wierszu „nie było pytań”. Wieloobrazowość składająca się na „restaurację” przypomina karuzelę, której nie można zatrzymać. Byłoby to przykład konsekwentnej symbolizacji środków poetyckich ze światopoglądem autora. Ostrzec by jednak należało młodego poetę przed łatwością stosowania techniki. Zaczęło się na razie od fascynacji i nadużywania metafor dopelniających: „wędzida sennych ekstaz”, „jasnooka różnica dnia i nocy”, „wyschnięte jezioro rozbieganych zmarszczek”, „światło krzyków zniecierpliwienia”. Dobrze, jeśli ociera się to o nadrealizm, gorzej — gdy doprowadzi do pustostawia.

Boję się, że blisko tej niebezpiecznej granicy mnożenia słów bez głębszej motywacji jest autor ostatniego z prezentowanych zbiorów — Zbigniew Marian Jelinek. Przy widocznej łatwości pisania — razi jałowość intelektualna i karygodne niedopracowanie stylistyczno-gramatyczne wierszy. I może Z. M. Je linkowi „wszystko (...) jedno/czy jest to poezja/czy nie”, lecz odbiorcy należy się minimum autorskiej lojalności. Bo odwołując się do jednego z wierszów — Syzyf nie pcha dłoń; sam pcha ogromny ciężar.

MALGORZATA
KOWALSKA-MASŁOWSKA

Anna Kwapisiewicz: Con tris tezzo
Dorota Muszyńska: Struny spojrzeń
Zbigniew Marian Jelinek: Ten mężczyzna z wiersza
Ryszard Jonaczek: Dziura aniołów
Kalikst Kucharski: Nauka wychodzenia
Wszystkie tomiki opatrzone są adresem: Wydawnictwo Lubuskiego Towarzystwa Kultury Zielona Góra 1985.

mielkach służby drogowej, a Piotr Lauks zamiast berła dźwizy w ręku zwykły tłuczek do młosa w „Geś z prosięciem” reklamującą się geś pokazuje książeczkę mizakaniową i książeczkę PKO. W „Ślimaku” — maś ślimak czy ta „Polityka”. Jest więc to przedstawienie nie polityczne, a satyra posunięta jest aż do absurdu. Aktorzy nie tylko doskońbie wcieli się w rolę, ale także potrafili utwory współcześni, wydobyc z nich humor i satyrę. Wyśpiewali swoje role bardzo dobrze. Publiczność (zarówno dzieci jak i dorośli) żywo reagowała na gesty i zachowania aktorów burzliwymi oklaskami. Przedstawienie jest niewątpliwie cenne i warte popularyzacji.

ANNA DZIECHCIAROW

Teatr Lubuski w Zielonej Górze — „Z palca wyszane”, premiera 2 lutego 1986 r. Reżyseria, scenariusz i scenografia: Joanna Dobrzańska. Muzyka: Jerzy Bechyně. Obsada: Joanna Dobrzańska, Sigrd Siewior, Piotr Lauks i Bogdan Warchoł.



Scena zbiorowa. Teatr Lubuski

Mieczysław J. Warszawski

Exodus

panu Janowi Muszyńskiemu

Wywiedz nas pojedypanych z raju którego nie było
Pod ślepe zrzadzenie zdarzeń jeszcze mogących się wydarzyć

Powiedz nam wszystkich jednak trwających, zniewolonych
I wolnych, w najstarszą z możliwych wędrówek wszelakich istnień

Zgotuj nam wspólny los choć jesteśmy osobno trатовani
Sami przez siebie jakbyśmy mieli zamiar być jedynie w sobie

Uczyn znekany pochod czymś więcej niż jest abysmy
W zgodnym zaprzęgu wielbilibi samobiczowanie a w chwili agonii

Mogli poręczyć że bez nie zmierzających skądinąd
Nie ostałoby się nic i nic nie byłoby pewne

Dwa ciała

Dwa ciała twarzą w twarz to niekiedy dwa sny
Śniące się przy jednym boku; dwa ciała twarzą

W twarz to niekiedy dwa pytania o jednej odpowiedzi:
Zaledwie jedni, dla siebie obojga. Dwa ciała twarzą

W twarz to niekiedy jedynie ty, bardziej niż ja

Wiersze pochodzą z tomiku pt. ODWIECZNE, mającego wkrótce ukazać się nakładem Muzeum Ziemi Lubuskiej.



CZY JAZZ TRACI PUBLICZNOŚĆ?

Na łamach czasopism zajmujących się problemami muzycznymi rozstrzygnięcia dyskusja, w której mniej lub bardziej zawodowo zainteresowani zadają sobie pytanie: czy jazz traci publiczność i dlaczego? Trudno na nie sformułować jednoznacznej odpowiedzi, gdyż przyczyn owego zjawiska jest wiele i nie są wcale proste.

Przeciętnemu odbiorcy hasło „jazz” kojarzy się na ogół z dokonaniem awangardy, czyli muzyki trudnej i w związku z tym z przyswajaniem przez nieprzygotowanego słuchacza. Dzieje się tak m.in. dlatego, że w środowisku masowego przekazu przy okazji prezentacji tzw. jazzu nowoczesnego poświęca się mu sporo uwagi, dokonując wnikliwych analiz muzycznych przedstawianych utworów i podkreślając ich niekwestionowaną wartość. Sytuacja taka nie zdarza się lub zdarza się rzadko przy dokonaniach z zakresu jazzu tradycyjnego, który notabene nieczęsto gości na antenie radiowej. Inaczej wyglądało to w przeszłości, kiedy popularność jazzu była ogromna, a jego wpływ na muzykę rozrywkową znaczący. Natomiast w latach pięćdziesiątych zaślę oddziaływanie jazzu był tak rozległy, że oprócz kształtowania gustów, muzyka ta była pretekstem do uformowania się określonej filozofii życiowej.

W odróżnieniu od muzyki poważnej, w której istotną jest wierność wykonania dzieła kompozytora, w jazzie napisany przez autora temat stanowi pretekst do osobistej wypowiedzi wykonawcy. Ta swoboda poczyniła muzycznych często stawała się inspiracją do manifestowania przez pokolenia określonej postawy etyczno-moralnej.

Obecnie działania muzyków jazzowych odchodzą od pojmowanego klasycznie jazzu, przy którym można byłoby się bawić i zwracać się w kierunku muzyki trudnej.

Zdarza się, że w poszukiwaniach twórczych muzyczne dokonania niekiedy balansują na pograniczu absurdu. Konsekwencją tego jest np. powstanie w naszym kraju tzw. „młodego polskiego jazzu” wzorującego się na tendencjach światowych, który, niestety, stracił kontakt z szeroką publicznością i zaczyna ratować się elementami rocka. Niemalże marzeniem staje się, choć posuchania czy zobaczenia zespołu, który łączyłby w sobie zasadnicze cechy jazzu, czyli osobistą wypowiedź poprzez swobodną interpretację tematu i improwizację, perfekcyjne wykonanie, a przy tym gwarantowałby muśnięcie zabawy z publikacją.

cią. Nurt ten w wycinku swej działalności w Polsce reprezentuje zespół „Vox”, ostatnio pojawiła się „Prowizorka” ze swoim dixelandowym repertuarem, no i oczywiście w świecie niedościgniony „Manhattan Transfer”.

Zielonogórskie środowisko muzyczne należy raczej do ubogich w tradycję jazzową. Przed laty funkcjonował na tutejszym terenie big-band pod kierownictwem Romanika, którego tradycję obecnie kontynuuje istniejący przy klubie „Mrowisko” big-band J. Szymanika.

Zieloną Górę reprezentuje także grupa „Spectrum”, wywodząca się z środowiska studenckiego. Większość kompozycji grupy utrzymana jest w stylu zwanym swingiem. Specyfika „Spectrum” polega także na tym, że jest to zespół wokalny, co w repertuarze składającym się ze standardów, pociąga za sobą określone konsekwencje. Przede wszystkim do perfekcjonizmu w takim zespole wymaga wielu lat żmudnych, wspólnych ćwiczeń. Konieczne jest wzajemne dostosowanie barw głosowych, umiejętność słuchania siebie, gdyż są to czynniki, które budują brzmienie. Niezbędna jest również czystość intonacyjna, ponieważ jej drobne niedociągnięcia burzą całą harmonię. Aranżacje zespołu pisane są (przez kierownika zespołu Zdzisława Zielińskiego) w tzw. harmonii skupionej, typowej dla zespołów wyrastających z amerykańskiej tradycji muzycznej.

Grupa działa już od pięciu lat. Pierwsze sukcesy w dziedzinie muzyki rozrywkowej przyszyły w 1981 r. W Toruniu zespół „Spectrum” został laureatem Złotej Dziesiątki, w Opolu w koncercie „Interpretacje” zdobył wyróżnienie.

Na triumfy jazzowe przyszło jednak czekać do 1985 roku. Na ubiegłorocznym festiwalu jazzowym „Złota Tarka” muzycy zdobyli wyróżnienie specjalne. Fakt ten wzmógł w członkach zespołu chęć sprawdzenia się za granicą. Nadarzyła się taka okazja, gdyż zostali zakwalifikowani na XVI Międzynarodowy Festiwal Jazzowy w Dunkierce. Stamtąd przywieźli drugie miejsce w kategorii jazzu tradycyjnego i dodatkowo nagrodę za prezentację. Uwierczeniem sukcesów ubiegłorocznych było za zajęcie trzeciego miejsca w Spotkaniach Wokalistów Jazzowych w Zamościu.

Mimo osiągniętych laurów, zespół nie jest znany szerokiemu odbiorcy w Polsce. Dzieje się tak m.in. dlatego, że pochodzi on z takiego miasta jak Zielona Góra, w którym nie ma — ośrodka telewizyjnego, a rozgłośnia radiowa nie posiada magnetofonów wielośladowych, niezbędnych do dokonania jego nagrań. Rozwiązaniem byłoby dokonywanie nagrań w innych miastach, ale wymaga to dużych nakładów finansowych. Kosztów tych obecnie nie może pokryć Zielonogórski Oddział Akademickiego Biura Kultury i Sztuki „Alma — Art”, pod którego opieką jest „Spectrum”.

Zespół dzięki muzyce, którą uprawia, przy wsparciu jej odpowiednimi warunkami technicznymi i właściwą konstrukcją programu nie miałby z pewnością kłopotów z dotarciem do szerokiego kręgu melomanów. Gdyby w Polsce było więcej tego typu grup, być może dyskusja „Czy jazz traci publiczność?” straciłaby aktualność.

AUGUSTA JEDRZEJCZAK



Brzechwa po zielonogórsku

Kto nie zna pięknych bajek Brzechwy? Na jego poezji wychowują się dzisiejsi najmłodsi, wychowali się i ci, którzy przekroczyli już pięćdziesiątkę. Brzechwa sam o sobie mówił: „Jestem więc niejako dobrą nianią, która jak w owej bajce, rozsypuje ziarna maku, aby dzieci po ich śladzie, igrając słowem, bawiąc się w słowo, dotarli szczęśliwie do wielkiej Literatury.”

O wielkości i popularności utworów tego pisarza świadczą chociażby nakręcone filmy „Akademia Pana Kleksa” i „Podróże Pana Kleksa”.

Ostatnio o wystawienie bajek Brzechwy pokusił się Teatr Lubuski w Zielonej Górze. Spektakl nosi tytuł „Z palca wyszane” i jak głosi wstępna piosenka, ułożona przez Joannę Dobrzańską, jest to „groch z kapustą” czyli zbiór wierszy J. Brzechwy o różnej tematyce („Król i białe”, „Dwie gaduły”, „Wios”, „Entleczek Pentliczek”, „Jajko”, „Mieko”, „Prot i Filip”, „Samochwała”, „Strus”, „Indyk”, „Geś z prosięciem”, „Ślimak”, „Zuk”, „Grzebień i szcztotka”, „Tulipan i róża”, „Wyszane z palca”). Reżyserowała, scenografię opracowała i scenariusz napisała Joanna Dobrzańska. Całość jest śpiewana, a dobrą i klimatem odpowiadającą muzykę do tych utworów skomponował Jerzy Bechyně. On też był jej wykonawcą. Grał na syntezatorze „Yamaha”.

KLUBOWE WIZYTOWKI

W Konotopie po remoncie

O Klubie Prasy i Książki w Konotopie pisałem już kiedyś w „Nadodrze”. Ale było to dawno, przed remontem, klub był jednoizbowy, zawilgociony i zagrzany, ze ścian odpadał tynk, a samo pomieszczenie nie stwarzało wrażenia przytulności. Gospodyni tej placówki Arleta Mączka oczekiwała remontu jak zmiłowania. Nie czekała jednak biernie, starała się o ten remont i dążyła do tego, aby został przeprowadzony jak najprędzej. I doczekała się. Remont w końcu zrobiono, a mieszkanie Konotopu otrzymało placówkę kulturalno-oświatową z prawdziwego zdarzenia.

Teraz, po remoncie jest to jakby zupełnie inne pomieszczenie klubowe. Część handlowa została wydzielona od kawiarni i czytelnia, ściany wyłożono boazerią, wybudowano toalety, doprowadzono wodę bieżącą. Jest też niewielkie pomieszczenie, w którym z powodzeniem można będzie ustawić stół ping pongowy. Poza tym klub otrzymał praktyczne i bardzo estetyczne oświetlenie, którego instalację zajmował się w czynnie społecznym Stanisław Mączka, ojciec gospodyni klubu.

Pieczęć znajdującą się niegdyś w nie najlepszym stanie zostały zastąpione i obecnie grzeją doskonale. Szkoła tylko, że zapas węgla wystarczy na najwyżej na tydzień, a tu luty wciąż jeszcze grozi mrozem. Cała nadzieja w tym, że za

parę dni będzie już marzec i może wraz z nim nadejdzie ocieplenie.

No cóż, do takiego pomieszczenia przydałyby się inne meble klubowe, jakich np. stylowe ławy, fotele... Wygląd krzesel i stolików, które tam ustawiono wręcz kłóci się z elegancką boazerią ścian, ozdobnym sufitem, efektywnym oświetleniem i ogólną estetyką.

Że przedstawia się wyposażenie klubu w sprzęt audiowizualny. Jest tylko zepsuty telewizor do odbioru programów kolorowych i radio marki „Tara-ban”, które aktualnie stanowią bodajże jedyną rozrywkę. A przecież od zakończenia remontu minęło już sporo czasu, bo klub został otwarty pierwszego grudnia ubiegłego roku. Kiedyś było to więc ciekawie, ale przed remontem został zabrany przez Oddział RSW w Nowej Soli i nie wszystko zwrócono. Wprawdzie w klubie jest nieco sprzętu zakupionego kiedyś za pieniądze młodzieży, ale jest to już sprzęt stary i zużyty, tak że nie zawsze można z niego korzystać do prowadzenia wszystkich form działalności kulturalno-oświatowej.

Właściwie działalność merytoryczna nie została jeszcze po remoncie klubu rozwinięta tak jakby życzyła sobie tego gospodyni i społeczna rada klubu. Warunki lokalowe są teraz dobre, ale do rozpoczęcia szeroko pojętej działalności kulturalno-oświatowej niezbędne są jeszcze działania organizacyjne oraz do-

posażenie klubu w sprzęt audiowizualny. Dotąd zorganizowano już pracę z dziećmi. Działają sekcje: recytatorska i plastyczna. Efekty pracy tej ostatniej oglądałem w postaci pięknej wystawy dziecięcych prac plastycznych, którą za stała wyeksponowana w holu klubu. Ostatnio rozpoczął działalność dziecięcy teatrzyk żywego planu, wkrótce zaczyna się odbywać pierwsze próby. Zaś sekcja recytatorska przygotowuje program odczytów na Dzień Kobiet.

Ponadto w wyremontowanym klubie odbyły się już dwie imprezy skierowane z zewnątrz. Ostatnio gościli tam aktorzy scen wrocławskich z programem dla dzieci pt. „Gdyby to był dzięk za chłód” oraz aktorzy warszawscy z programem o Stachurze pt. „Biała lokomotywa”. Po długiej przerwie widownia klubu wypełniona była po brzegi.

Tak więc, pomimo występowania trudności — bo gdzie ich nie ma? — klub został wyremontowany i okazuje się, że przy dobrej woli wielu ludzi i Urzędu Gminy w Kolsku można było tego dokonać. Takie remonty przydałyby się również w wielu innych klubach wiejskich. Kiedyś, gdy przed przeszło dwudziestu laty zakładano pierwsze placówki kulturalno-oświatowe, lokowano je w różnych obiektach lepszych i gorszych, bo prawie każda wieś chciała mieć swój klub. Dziś sytuacja się zmieniła. Zmieniły się też wymagania stawiane przed klubami. Ponadto wiele starych obiektów uległo dekapitalizacji, a zużycie nie których jest tak duże, że tylko taka zdecydowana zmiana, jaką wprowadzono w klubie w Konotopie może im przywrócić, a nawet w znacznym stopniu poprawić ich przydatność i użyteczność.

ZENON CZARNECKI

W sprawie — „Strych jak twierdza”

Uderz w stół...

A. R. błyskawicznie zareagował na mój tekst o peregrinacjach młodego małżeństwa, które nie oglądając się na nikogo postanowiło wybudować sobie mieszkanie na strychu. W liście do redakcji zarzucił mi brak etyki zawodowej, ale też zauważył iż miałem swoją koncepcję ukazania tego problemu. Rzeczywiście, taka koncepcja istniała. Miałem zamiar pokazać pewne postawy ludzkie, dość charakterystyczne dla naszego społeczeństwa i również charakterystyczne postawy urzędów oraz urzędników. Stąd inicjały osób zainteresowanych a nie nazwiska w pełnym brzmieniu. Ale nie miejsce na wytuszowanie zagadnień warsztatu dziennikarskiego i Prawa Prasowego.

Dziwne jest myślenie A. R. napisał on: „Zarzutu dotyczącego rzekomych

inwektyw nie mogę traktować poważnie, nie uczyniłem tego sam „obrażony” a ja do tej pory nie stanąłem przed kolegium w roli oskarżonego”. Jest kilku świadków na to, że Jacek K. był obrzucany inwektywami, ale jego nie interesują procesy sądowe lecz mieszkanie.

A. R. został oczyszczony przez RM PRON z zarzutu pieniactwa i prywatności, podkreśla się, że A. R. działa z mandatu większości lokatorów. Być może, ale o tym dowiedział się Jacek K. dopiero z publikacji w „Nadodrze” — a skoro on ten zarzut wysunął powinien chyba dowiedzieć się z innego źródła o stosunku RM PRON do swojej skargi. „Większość lokatorów”, to 13 osób, (na 55 lokatorów), które podpisały się pod skargą. Jacek K. podobno wyciął na strychu belki stropowe, co zagraża mi niu i życiu lokatorów. Otoż Jacek K. nie wyciął na strychu ani jednej takiej belki, co może stwierdzić każdy ekspert.

Orzeczenie mgr inż. Jana Basisty, wydane w styczniu br., wyklucza wszelkie niebezpieczeństwo — dla budynku i lokatorów — wynikające z prac adaptacyjnych na strychu.

Koronnym argumentem przeciwko Jackowi K. było to, że buduje sobie rezydencję kosztem m.in. suszarni. Wg. planów, suszarnie mają być dwa razy większe niż przewidują to krajowe normy. Ponadto w suszarniach mają być wmontowane okna, oczywiście na koszt inwestora, a jest to koszt niebagatelny. Jak się przekonałem oglądając plany, mieszkanie na strychu nie będzie rezydencją, lecz tym czym miało być w za-mierzeniu — normalnym mieszkaniem dla młodego małżeństwa z dzieckiem, mieszkaniem na całe życie.

Dziękuję A. R. że wzbogacił mój nierzetelny materiał o swoje obiektywne spojrzenie. Równocześnie jestem pełen podziwu dla mądrości osób piastujących odpowiedzialne stanowiska w Urzędzie Miejskim, PGKIM i Urzędzie Wojewódzkim, które pominięły dyplomatycznym milczeniem mój nierzetelny tekst.

PIOTR PIOTROWSKI

P.S. Od Redakcji: Ta odpowiedź kończy polemikę na temat adaptacji strychu w budynku przy ulicy Zakręt.

camera filatelistica

Filatelistyczna znieczulica

Wśród kilku grzechów głównych na szego handlu za największy uważam ciągle zmienny sieć sklepów branżowych. Był sklep meblowy przez kilkanaście lat i jak już wszyscy przyzwyczaili się, zmieniono na sklep z konfekcją damską. Był sklep z artykułami ceramicznymi, zmieniono na chemię, a dla odmiany obuwniczy na perfumeryjny. Lista takich zmian w samej Zielonej Górze zajęłaby co najmniej całą kolumnę „Nadodrze”.

Klienci — kłina na handlowców, że aż uszy wiejdą, ale wybitni specjaliści handlowi przy okazji każdego remontu dokonują dalszych zmian, bo co ich obchodzi znajomość takiej dzied-

ni wiedzy jak psychologia klienta, nawyki, ciagi handlowe, koncentracja się ci itp.

Aby nie być gołosłownym i nie mówić tylko o tolerancji władz Zielonej Góry w stosunku do handlowych monopolistów, przykład z naszej filatelistycznej łączki. W końcu lat pięćdziesiątych na łamach miejscowej prasy to czono boje o sklep filatelistyczny. Wreszcie Zielona Góra otrzymała upragniony punkt sprzedaży walorów i przy borów filatelistycznych przy ulicy Drzewnej. Miał lokalik bez zaplecza, nie gwarantował właściwego prowadzenia działalności handlowej. Pod naciskiem opinii zbieraczy udało się uzyskać lokal w centrum koło ratusza. Jak już klienci przywykli do tej nowej lokalizacji, przeniesiono go na ulicę Westerplatte do obok oddanego obiektu RSW „P-K-R”. Obok placu Bohaterów Stalinu grała naprawdę trafny wybór, bo i centrum miasta, i ciąg handlowych dużych magazynów „Centrum” i „Rolnik”, które przyciągały kupujących. Szybko więc społeczność miejska zaakceptowała tę zmianę. Ale najbardziej była zadowolona młodość. Nie udało się rodzicom przejść z dziećmi ulicą Westerplatte, aby nie odwiedzić sklepu filatelistycznego i nie dokonać tam zakupu choćby za skromne 50 czy 100 złotych. Rosły więc obroty i tylko brak towaru w

sklepie wynikający ze złych ustaleń cenowych warszawskiej centrali zaniżał wysokie możliwości wzrostu obrotów. Wśród sklepów pełniących wielorakie funkcje kulturowe i handlowe filatelistyczne winny być preferowane i ze względów rynkowych. Przecież każda złotówka wydana na zakup waloru filatelistycznego — czyli zadrukowanego skrawka papieru — zmniejsza ilość pieniędzy na rynku. Te argumenty widział nikt nie interesujący, bo okazuje się, że sklep filatelistyczny ma być w najbliższym czasie przeniesiony na ulicę Mieszka I, gdzie nie ma ani ciągów handlowych, ani też spacerowych, gdzie tylko wytrawni zbieracze dotrą, natomiast młodzież i tzw. przypadkowi klienci lub przyjeżdżający okazująco do Zielonej Góry zarówno krajowi jak i zagraniczni turyści nie znajdą już czasu, by odszukać ulicę Mieszka I i sklep filatelistyczny. Nie znane są powody zmiany lokalizacji sklepu filatelistycznego. Według wersji zainteresowanych sklep ten jest traktowany przez zielonogórskie przedsiębiorstwo, jak przyszło wioło „pięte koło o wozu”. Zresztą cała problematyka rozwoju filatelistyki nie może w prasowo-kolportażowym koncercie RSW „P-K-R” uzyskać solidnej pozycji wynikającej choćby z wielkości zysku, jaki ten pion wnoszą do spółdzielczej kasy. Zielona Góra przed 30 laty liczyła nie wiele więcej niż 50 tys. mieszkańców i miała 1 sklep. Dziś ma ponad 110 tys. mieszkańców, wielu zbieraczy, których liczba powiększyła się prawie dziesięciokrotnie, a kierownictwo zielonogórskiego „Ruchu” nie zdradza żadnej inicjatywy utworzenia nowego sklepu. Zresztą dotyczy to nie tylko Zielonej Góry, także Zar. Zagania i Lubuska, które liczą już razem blisko 100 tys. mieszkańców, a posiada ją tylko sztyl w Zarach z napisem „Filatelistyka”, bo nikogo tam nie interesują potrzeby tamtejszych zbieraczy, którzy po drobniaki filatelistyczne muszą jechać do Zielonej Góry, Nowej Soli czy Wrocławia. Ale to już odrębny temat. Wróćmy do Zielonej Góry. Zamiar ograniczenia działalności sklepu filatelistycznego przez zmianę lokalizacji z nikim nie konsultowany jest kolejnym przykładem ignorowania zarówno środowiska filatelistycznego, jak i podstawowych zasad organizacji handlu uspołecznionego.

M. SŁAWOMIR

ZIELONA GÓRA. Jak się dowiadujemy, bieżący rok będzie dla instytucji kultury i sztuki bardzo ciężki. Przede wszystkim zabraknie pieniędzy na działalność merytoryczną. W resorcie kultury nigdy się nie przelewało, instytucje nauczyły się wiązać koniec z końcem, nigdy też u progu roku minister nie informował wojewody, że kasa ministerialna jest pusta. W piśmie do wojewody zielonogórskiego minister prosi, by nie żądać od niego żadnych dodatkowych pieniędzy, gdyż ministerstwo nie posiada rezerwy finansowej. Wcześniej minister sugerował, by zrewidować program działalności kulturalnej, szczególnie ograniczyć liczbę rozmaitych festiwali, spotkań, przeglądów. Nikt nie wierzył, gdyż resort kultury zawsze jakoś sobie radził, a imprezy planowały się. W województwie zielonogórskim, jak się dowiadujemy, będzie krucho z finansami, ale odebą się wszystkie najważniejsze imprezy, choć okrojone. Będzie więc XXI Festiwal Piosenki Radzieckiej, Międzynarodowy Festiwal Zespołów Pieśni i Tańca, dni regionalne i zielonogórskie „Winobranie”. Odebą się i inne imprezy, m.in. „Dni kultury okręgu Cottbus”, a także „Dni kultury województwa zielonogórskiego w Cottbus”, obie imprezy finansowane z budżetu wojewódzkiego. Najbardziej ucierpią jednak zabytki, które trzeba by systematycznie remontować i konserwować. Być może zostanie wstrzymana budowa Muzeum Historii Zielonej Góry, rozbudowa innych placówek kulturalnych; Muzeum Ziemi Lubuskiej kupi mniej eksponatów, Filharmonia Zielonogórska zorganizuje mniej koncertów. Teatr im. Leona Kruczkowskiego nie wystawi wszystkich zaplanowanych sztuk. Władze wojewódzkie zastanawiają się, co zrobić, by wreszcie urosł lokalny Fundusz Rozwoju Kultury. Może zechcą wesprzeć go zakłady pracy, może rady narodowe, może osoby prywatne? Kultura wychodzi z kryzysu, jak się okazuje, okaleczona. A miało być inaczej. W tym roku wiele instytucji i organizacji społecznych podległych resortowi kultury i sztuki obchodzi swoje jubileusze. 5 listopada br. przypada czterdzieste zielonogórskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, skupiającego obecnie 12 członków. 29 listopada 1956 r. powstał w Zielonej Górze Oddział Stowarzyszenia Architektów Polskich, a więc w tym roku Stowarzyszenie na Ziemi Lubuskiej będzie obchodziło swoje 30-lecie. Z połączenia amatorskich scen teatralnych w październiku 1951 r. zrodził się Państwowy Teatr Ziemi Lubuskiej, obecnie Teatr im. Leona Kruczkowskiego, najstarsza placówka artystyczna w województwie zielonogórskim. 30-lecie obchodzi Filharmonia Zielonogórska, która swój początek bierze ze Stowarzyszenia „Orkiestra Symfoniczna w Zielonej Górze”. W 1951 r. w rezultacie połączenia Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej z Biblioteką Miejską powstała Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, dziś dysponująca księgozbiorem liczącym ponad 420 tys. jednostek. 10 lat temu powstało z połączenia Wojewódzkiego Zarządu Kin i oddziału wojewódzkiego Centrali Rozwoju Sztuki Filmów — Ogólnopolskie Przedsiębiorstwo Rozwoju Sztuki Filmów, nadzorujące kina w Legionowie i Zielonogórze. 20 lat temu próbowano dotrzeć z filmami do każdej wioski, uruchamiając dwa kinobusy „Tramp” i „Wedrovec”. W czerwcu 1946 r. rozdano pierwsze świadectwa w zielonogórskiej Szkole Muzycznej. Przed 15 laty powstał w Wyższej Szkole Pedagogicznej Zakład Wychowania Muzycznego, obecnie Instytut Wychowania Muzycznego. 15-lecie obchodzi Sekcja Plastyki Amatorskiej Lubuskiego Towarzystwa Kultury. Od 10 lat odbywa się Polsko-Radziecki Plener Malarstwa, zwany Plenerem Przyjaźni. Czterdzieste będzie obchodził w listopadzie Lubuskie Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego. Przed 15 laty powstała Wyższa Szkoła Nauczycielska, przemianowana na Wyższą Szkołę Pedagogiczną. Dr Michał Kaziów, prozak krytyk teatralny i eseista otrzymał Nagrodę i Medal Towarzystwa Przyjaciół Zielonej Góry.

TARNÓW JEZIERNY. Staraniem Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków odbudowano ze zniszczeń pałac myśliwski pochodzący z 1624 r. Obecnie pałac jest Domem Pracy Twórczej, przeznaczonym dla pisarzy, plastyków, kompozytorów, architektów, a także działaczy kulturalnych z terenu województwa zielonogórskiego. W 9 pokojach może jednocześnie przebywać 18 osób. Gospodarz obiektu, Biuro Dokumentacji Zabytków, dzienny koszt pobytu, bez wyżywienia, skalkulował na 300 zł (artyści i pracownicy resortu kultury) i 600 zł (pozostali użytkownicy). W sezonie wczasowym koszty mogą być wyższe.

PIOSENKA RADZIECKA. W większych ośrodkach miejskich odbywają się regionalne eliminacje XXV Konkursu Piosenki Radzieckiej. W eliminacjach w Nowej Soli uczestniczyło 39 piosenkarzy, zaś w Krośnie tylko 3. W Gubinie odbyły się eliminacje Śląskiego Okręgu Wojskowego, którego laureaci zakwalifikowali się bezpośrednio do finału centralnego. W innych miastach eliminacje jeszcze trwają. Zdaniem pracowników Wojewódzkiego Domu Kultury, tegoroczny poziom eliminacji jest zadowalający, nie wszystkie jednak domy kultury przygotowały swoich reprezentantów, m.in. dlatego, że niektóre placówki nie zatrudniają instruktorów muzyki. W województwie zielonogórskim pracuje 54 instruktorów, brak ich jest jedynie w Zagajniku Pałacu Kultury i Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury w Czerwieńsku. Finał wojewódzki XXV Konkursu Piosenki Radzieckiej odbędzie się w Zielonej Górze w dniach 15-16 marca br. Zaraz po tym wyznaczono w Zielonej Górze VI Sesję Ośrodka Informacyjno-Metodycznego Ogólnopolskiego Konkursu i Festiwalu Piosenki Radzieckiej. Podczas sesji zostanie omówiony tok przygotowań laureatów do finału centralnego, który odbędzie się w Radomiu, Inowrocławiu i Tarnowie. Ustalono już, że XXI Festiwal Piosenki Radzieckiej zostanie zorganizowany w Zielonej Górze w dniach 9-14 czerwca. Kierownictwo artystyczne i reżyserię Komitet Organizacyjny powierzył Włodek Biełlickiemu, opracowanie scenografii Jerzemu Boduchowi, kierownictwo muzyczne Jerzemu Millanowi. Kierownikiem artystycznym festynu dziecięcego „Barwy przyjaźni” jest Maciej Galoch.

ZAPROSILI NAS: Centralny Związek Rzemiosła na VI Dolnośląskie Targi Rzemiosła we Wrocławiu; Zarząd Wojewódzki TPPR w Zielonej Górze na konferencję sprawozdawczo-informacyjną; Teatr im. Cypriana Norwida w Jeleniej Górze na przedstawienie sztuki według S. Grzesiuka „Boso, ale w ostrogach”; Lubuskie Muzeum Wojskowe w Drzonowie na otwarcie galerii autorskiej art. piast. Zenona Polusa; Śląski Okręg Wojskowy na koncert laureatów Przeglądu Piosenki Żołnierskiej i Radzieckiej SOW; Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia Pax w Zielonej Górze na spotkanie z ludźmi kultury środowiska zielonogórskiego; Muzeum Ziemi Lubuskiej na otwarcie wystawy Cz. Luniewicza „Moje miasto moja ojczyzna”; Biuro Wystaw Artystycznych w Gorzowie i Centrum Sztuki „Galeria El” w Elblągu na otwarcie wystawy malarstwa, rysunku i grafiki „Plastyce Elbląga”; Zarząd Oddziału PTK w Jeleniej Górze na Międzynarodowy Spływ Kajakowy „Bóbr — rzeka Piastów”. Dziękujemy.

nadodrze

DWUDZIENNIK SPÓŁNOCNO- WYSTĘPNI
ORGAN LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-007 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, I p. oraz adres dla korespondencji: 65-004 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 46. Telefon: redakcji: 242-11-1 i sekretariat: 242-33, sekretariat: 242-33 i 242-34 oraz centrala: 46-81 do 7 łączy telefony wewnętrzne. Telex — 642-225.

Redaguje zespół: Halina Anka-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. tech.), Michał Horowicz, Janusz Koniusz (red. naczelny), Małgorzata Kowalska-Masłowska (statystka), Zenon Łukasiewicz (red. naczelny), Wiesław Nodyszński (sekretarz red.), Piotr Piotrowski (statysta).

Ryszard Rowiński, Alfred Siatecki. Korekta: Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterow. Sekretariat redakcji: Elżbieta Waleńska. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe. Al. Niepodległości 25, 65-002 Zielona Góra, skrytka pocztowa 51. Centrala telefonów 46-81 do 47. Dyrektor: Zbigniew Pietkiewicz, tel. 21-795.

Druk: Drukarnia Prasowa ZWP, 65-076 Zielona Góra, ul. Reja 3. Ogłoszenia przyjmują: Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch”, 65-002 Zielona Góra, al. Niepodległości 25 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiałów (tekstów i fotow) nie zamówionych redakcją nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótów i zmian tytułów.

Zam. 187 1-18

Z DZIAŁALNOŚCI TOWARZYSTWA ZAPOBIEGANIA NARKOMANII

W styczniu br. odbyło się pierwsze Walne Zebranie Oddziału Terenowego Towarzystwa Zapobiegania Narkomanii w Zielonej Górze. Zebranie to, z udziałem pełnomocnika prezydium Zarządu Głównego TZN w Warszawie — kpt. Jerzego Fijałkiewicza, pełniącego funkcję urzędową Prezesa TZN, miało charakter sprawozdawczo-wyborczy. W toku obrad wybrano władze oddziału zielonogórskiego. Funkcję prezesa powierzono dotychczasowej przewodniczącej — Dorocie Rybczyńskiej, wiceprezesa Ewie Pelińskiej oraz sekretarza Annie Kozłowskiej. Podczas zebrania omówiono bieżącą

działalność Oddziału, nakreślono również zamierzenia perspektywiczne. Za zadania najważniejsze uznano: współdziałanie z resortami zajmującymi się problematyką narkomanii, współpracę z organizacjami młodzieżowymi i innymi stowarzyszeniami, kształtowanie prawidłowych postaw społecznych wobec zjawiska narkomanii, pomoc młodzieży uzależnionej oraz ich rodzinom, koordynowanie działań społecznych i państwowych na rzecz przeciwdziałania narkomanii.

Zebranie powołało także komisję programową (zdrowotną, informacyjno-propagandową, środowiskową oraz prawną), mającą usprawnić realizację powyższych działań.

Pragniemy poinformować, że tymczasowa siedziba Oddziału znajduje się w Zielonej Górze przy ulicy Wyspiańskiego 13 (gmach Wojewódzkiej Przychodni Zdrowia Psychicznego, pokój 187), telefon 46-91 wew. 83.

Okolice Trziszki

4ajdluższe życie zawrzeć można w czterech słowach umieszczonych na bi-bułce od papierosa. Można też inaczej, na setkach stron maszynopisu, z zamiarem, że będzie to arcydzieło. Nasz człowiek w Warszawie, Zygmunt Trziszka w „Tygodniku Kulturalnym”, wręczając Wiesławowi Sauterowi, z okazji jego osiemdziesięciolecia kwiatek zerwany w cudzym ogrodzie posłużył się metodą pośrednią. „Zdażyć przed oficjalami” ma stron 10.

Już pierwsze zdanie tego utworu, ka-że powątpiewać w intencje Trziszki. „Cieńko być ludowcem w ludowej ojczyźnie”, tak się to zaczyna, jest wypowiedzią społecznika, przyjaciela auto-ra. Ja się z tym zdaniem nie zgadzam. — Ludowcom, jak wszystkim, żyje się plus minus średnio i nie uważam, że powinno być inaczej. Dodam jeszcze, że w wielu znanych mi przypadkach, żyje się im na wysokim poziomie. Wybi-li się na gabinety z palmami, jeżdżą służbowymi samochodami, występują w imponującej gali orderowej. Opano-wali w dużym stopniu dział gospodarki żywnościowej. Inni są ministrami, am-basadorami, posłami. Ludowcy nie mu-szą drzeć na sobie szat w przymusie samokrytycyzmu, choć zawsze współ-uczestniczyli w rządzeniu krajem. I z tego tylko tytułu, zapewne niejednen błąd i niejedno wypaczenie, mogłoby brać na swoje sumienie. Chyba, że so-lusz robotniczo-chłopski, bratność par-

mi i stronnictwa, uznać za pryncypia wysoce wątpliwe. Jeśli Trziszka wątpli-wości ma, wnień z nimi udać się do właściwej komisji kontroli, czy też są-du koleżeńskiemu. Wątpliwości mają charakter herezji, gdzie indziej rozlicza-nej jako rewizjonizm.

Ofiarą ilustrującą zdanie, z którym się nie zgadzam, jest wielce zasłużony dla kraju pedagog, działacz społeczny, honorowy prezes LTK, członek Związku Literatów Polskich odznaczony Sztandarem Pracy I klasy Wiesław Sau-ter. Istota krzywdy polega na tym, że na 80-lecie profesora, Oddział ZLP w Zielonej Górze, za prezesa Zbigniewa Ryndaka, zapomniał o kwiatkach.

Co ludowcowa przynależność ma wspólnego z jubileuszowymi kwiatami, jest zagadką, nad rozszyfrowaniem któ-rym uznaje się za niekompetentnego. Na tomiast uważam, że Trziszka ma prawo i obowiązek, jeśli sądzi, że źle się sta-ło, bronić starszego kolegi. Istotnie, za nagannę uważać można to, co się stało, spuszczenie przez ZLP kurtyny zapom-nienia nad jubileusz swego członka. Jest to tym bardziej smutne, że spuszczenie kurtyny zapomnienia dokonane z sta-ło bez nacisku z zewnątrz: Trzisz-ka wskazuje palcem: prezes Zbigniew Ryndak, działacz tej twórczej organizac-ji, która powinna mieć wielką estymę społeczną oraz jej członek — Tadeusz Kalwin. O Ryndaku wiemy, napisał „Czarne anioły”, natomiast poznanie

twórczość Kalwina, nasunęło mi trud-ności nie do pokonania. Nazwiska tego nie ma w żadnym słowniku bibliogra-ficznym, żadnym regionalnym literac-kiem who is who. Wróble ćwierkają, że jest to pseudonim, nałożony przez Trziszkę na pseudonim Skoro posługu-jemy się prawdziwymi nazwiskami i faktami, skoro chcemy być katonami, to po co kamuflaż? Czyżby brak odwa-cywności u Trziszki? Tym bardziej, że zarzuty są raczej bardzo ciężkiego kalibru. Zdaniem Trziszki, Kalwin, sek-ciarz, podliterat a jeśli się domyślę, o kogo chodzi, protestuję! Kalwin, pa-entowany ateusz, do żadnej sekty nie należał! Chyba że „setka” też jest okreś-leniem kryptonimicznym! Ma sporo na sumieniu. Jako człowiek wpływowy, spowodował, że telewizja wstrzymała emisję zapowiadanej już filmu o Pro-fesorze. Stworzył atmosferę nie sprzy-jającą wręczaniu kwiatów. I jeśli tak było, Kalwin jest osobnikiem wielce wpływowym. Trziszka powinien jednak pamiętać, że zarzuty o takim ciężarę gatunkowym, zwłaszcza mając do czy-nienia z opinią publiczną, składa się wprost! Inaczej ustawia się w pozie ko-pięcego z za węgla w kostkę a widząc grymas bólu na twarzy ofiary, podcho-dzi z współuczuciem zapytaniem, co się to? Czy nie jest potrzebna pomoc?

Zalować można, że Zygmunt Trzisz-ka jednak przed oficjalami zdążył...

RYSZARD ROWIŃSKI

Robić lepiej — wstyd?

Dziwne i niepokojące zjawisko znaj-duje sobie miejsce w naszym życiu. Swasty wstyd. Raczej — fałszywy, nie urasądiony. W wielu środowiskach fortuje się klimat dla przeciwności, sza-rości profesjonalnej.

Jeśli ktoś robi byle jak, to swój, to nasz. Ileż mu można wybaczyć! A w jego trudnościach idzie mu się z wszel-ką dostępną pomocą. Wszak jest jed-nym z nas, „Człowiek, jak my wszy-sc”. Nie wynosi się, nie robi z siebie... No, właśnie.

A jaki wstyd powiedzieć — bardziej czy mniej publicznie — iż się swoje obowiązki wykonuje solidnie lub lepiej niż to widać normalnie, że się stosuje jakiś sposób, aby osiągnąć lepsze efek-ty. Oj, jakże często wtedy zacienia się wokół „pracusia” krag nieprzychylnos-ci, jeśli nie nienawiści.

Takiego popierać? Żeby tylko mu się noga podwinęła. Nikt z nim słowa nie rzeknie. Wręcz przeciwnie, niech sobie idzie. I tak ludzimu krwi napisał. Jesz-cze mu się podokucza. Co on z tej swo-jej solidności ma na co mu oto przy-szło. Frajda. Przeciwności się cieszy, przeciwności triumfuje. „Śmierć frajdro-m!”

Lecz jakże szkoda „naszego”. Tylko za to, że się spóźniał, że za dużo pił, że zniszczył maszynę — zaraz takie repre-sje. Przecież każdy jest człowiekiem. Nie wynosił się nad innych, był swój.

Jaka to przyjemność uchodzić za naj-milszą, najbardziej uprzejmą eksped-ientkę w dużym sklepie „spożywcym”? I jeszcze do tego, jak zacząć pisać uwa-gi, że ona właśnie rozjaśnia ten pawilon, że nie tak, jak inne. I co? Zostaje

często czarna owca. Posadzi ją się o to, o tamto, dwie, trzy sprzeczki — i musi odejść. Nie walczy. Jest zbyt dumna i zna swoją wartość. Ladać pisaloby skargi do wszelkich ziemskich mocy. Wie przecież, że te „mocy” będą mu współczuć, będą chciały pomóc. A do-swiadczenie uczy że...

Zdecydowanie najlepsza nauczycielka — zdarza się często — nie jest kocha-ną przez zespół pedagogów. Jest prze-cież szanowana przez uczniów i ich ro-dziców; a to już podejrzane. Dużo czy-ta, powołuje się na lektury. „Zajęcia innego nie ma, czy co?” Jeśli cechuje się bojownością, lepiej sobie radzi. Jeśli spokojna, ugodowa, nie jest uprzywie-ljowana przy odznaczeniach, nagrodach, przydziałach mieszkaniowych itp. „Niech jej się nie zdaje, że jest nie-wiadomo kim.” Swasty prawdziwość, tu wskazana, znajduje odbicie także sa-mo w wielu innych grupach profesjo-nalnych.

Kiedy nastąpi taki czas, że lekarz śmiało na jakimś forum będzie mógł powiedzieć: „Ja robię to, sądzę, dobrze, pracuję nad tym dużo i mam piękne efekty.” Kierowca pekaesu zaś przyzna się, iż mu zależy na zadowoleniu pasa-żerów, że się stara im pomagać, i że gniewa go, gdy niektórzy podróżni pró-bują nie brać biletów za opłacony kurs-td. Itp.

Zupełnie podobnie wyglądają sto-sunki w niektórych społecznościach młodzieżowych w niejednej szkole, w niejednej klasie. Uczniowie nad-zwyczajnie pracowici, najzdolniejsi, najbardziej zaangażowani, społecz-nie, chcący mieć ponadprzeciętne osiągnięcia muszą się „konspiro-

wać”, udawać, że są kimś innym. Do-skonale wiedzą, iż — aby się uchować — powinni szpanować na przesadną skromność, na swego rodzaju tumi-wizizm.

Przynajmniej na razie niełatwo w wielu sytuacjach uczniowi wyznać, że on autentycznie pragnie się uczyć, uc-ciwie odbywać praktykę, nie krasować w zakładzie, widziałby się w aktywnej organizacji młodzieżowej. Szkodliwe to zjawisko. Wymaga przeciwdziałania wie-lopłaszczyznowych. Wychowawcy czę-sto nie orientują się, iż jest tak właśnie. Niekiedy zaś są świadomi tych anomali-i, lecz jednocześnie — bezsilni. Bezsil-ni wobec panoszącej się wokół, wśród dorosłych bylejakości, braku poczucia odpowiedzialności wobec dość roz-po-wszereżonego przekonania, iż opłaca się niczym nie przejmować.

Istnieje konieczność przecinania pier-ścieni izolacji wokół jednostek ambit-nych, nie godzących się na przeciwność, szarość. Przestańmy komuś mieć za złe, że sam się zgłasza, aby brać na siebie dużą odpowiedzialność. Nie za-wsze jest to pomyślenie. Może być tak, że nie chce już dłużej patrzeć bezczyn-nie na dezorganizację i bałagan.

Przestańmy się śmiać z kogoś, kto rozpaczliwie narzuca się ze swoim po-mysłem. Może już naprawdę nie widzi żadnych szans zauważenia swego wiel-kiego wysiłku? Światli obywatele — w dywidualnie i w formach zorganizowa-nych — muszą stwarzać mechanizmy społeczne sprzyjające pokonywaniu przeciwności. Leży to w interesie nas wszystkich. I stanowi naszą wiel-ką szansę.

STANISŁAW ŚWINIARSKI

leń poetyckich. Niedawno — o czym pisał w „Nadodrzu” Czesław Sobko-wiak — w podwarszawskich Biolo-brzeczach odbyła się kolejna impreza, zorganizowana przez tę spółkę. Relac-je z tego seminarium, które brzmia-ło „O sztuce czasu, w którym żyjemy” pomieszczył na łamach katowickiego ty-godnika „Tak i Nie” Krzysztof Kar-wat. W nr 7 pisma pisze: „Odbył się także wieczór autorów „nowych roczników”. W Staromiejskim Domu Kultury w Warszawie wystąpił m.in. Zbigniew Joachim, Edward Kol-bus, Czesław Sobkowiak, Wojciech Mróz, Dariusz T. Lebiada, Eugeniusz Kurzawa i Czesław Szczepaniak. Je-śli Sobkowiak, który debiutował w 1970 roku, należy do „nowych roczni-ków”, to do jakich roczników należą debiutanci lat osiemdziesiątych?

ZABAWY ARTYSTÓW. Andrzej Ma-tynia w tygodniku „Tak i Nie” (nr 7) broni twórczości Dudy — Gracza, atakując artystę plastyka Marka Ka-mieńskiego. Swą gniewną filipikę koń-czy słowami: „Pozostawała jeszcze bu-lwersująca wiadomość o drastycznych happeningach. Zaiste Marek Kamień-ski to czasie jednego z owych happe-ningów poderżnął gardło kogutowi, za-co Rada Wydziału Katowickiej filii ASP ukarała go dyscyplinarnie i nie-dobrze zrobiła. Podrażnienie gardła ko-gutom mogło stać się ulubionym zaję-ciem Marka Kamieńskiego uwalnia-jącym od jego osoby malarstwo i kry-tykę.” W Zielonej Górze, jak na razie, nikt nie karze artystów, sygnaliści-babki z piasku. A i o koguta trudno. FASCYNACJE PANA BIELI. Literat z Myślenic Emil Biela jest pogrążony w nieustannej lekturze utworu Zbigniewa Ryndaka „Czarne anioły”. Pi-sał już o tej książce w „Życiu Lite-rackim”, obecnie ogłosił recenzję w

„Przeglądzie Tygodniowym” (nr 8) pt. „Materiał do powieści”. Pisze m.in.: „Zbigniew Ryndak, publikując „Czar-ne anioły”, rzecz, która jest właściwie zbiorem notatek do powieści, zastoso-wał dość efektowny, ale ryzykowny eksperyment. Otóż jego narrator — Joe Dzims — powołuje się w swoich wspomnieniach na autentyczne naz-wiska polskich pisarzy. (...) Owo po-woływanie się ma służyć uwiaryliwie-niu fabuły. Jakoś nie po-trafił wybudzić w sobie sympatii do tej postaci, która odśladnia się nam wie-lokrotnie i bardzo intymnie. (...) Szko-da tylko, że wokół aureoli, która wid-nieje nad głową Dzimsa, krąży auten-tyczne życiorysy polskich czarnych anio-łów”. Czekamy na trzecią recenzję pa-nya Bieli. Bez aureoli.

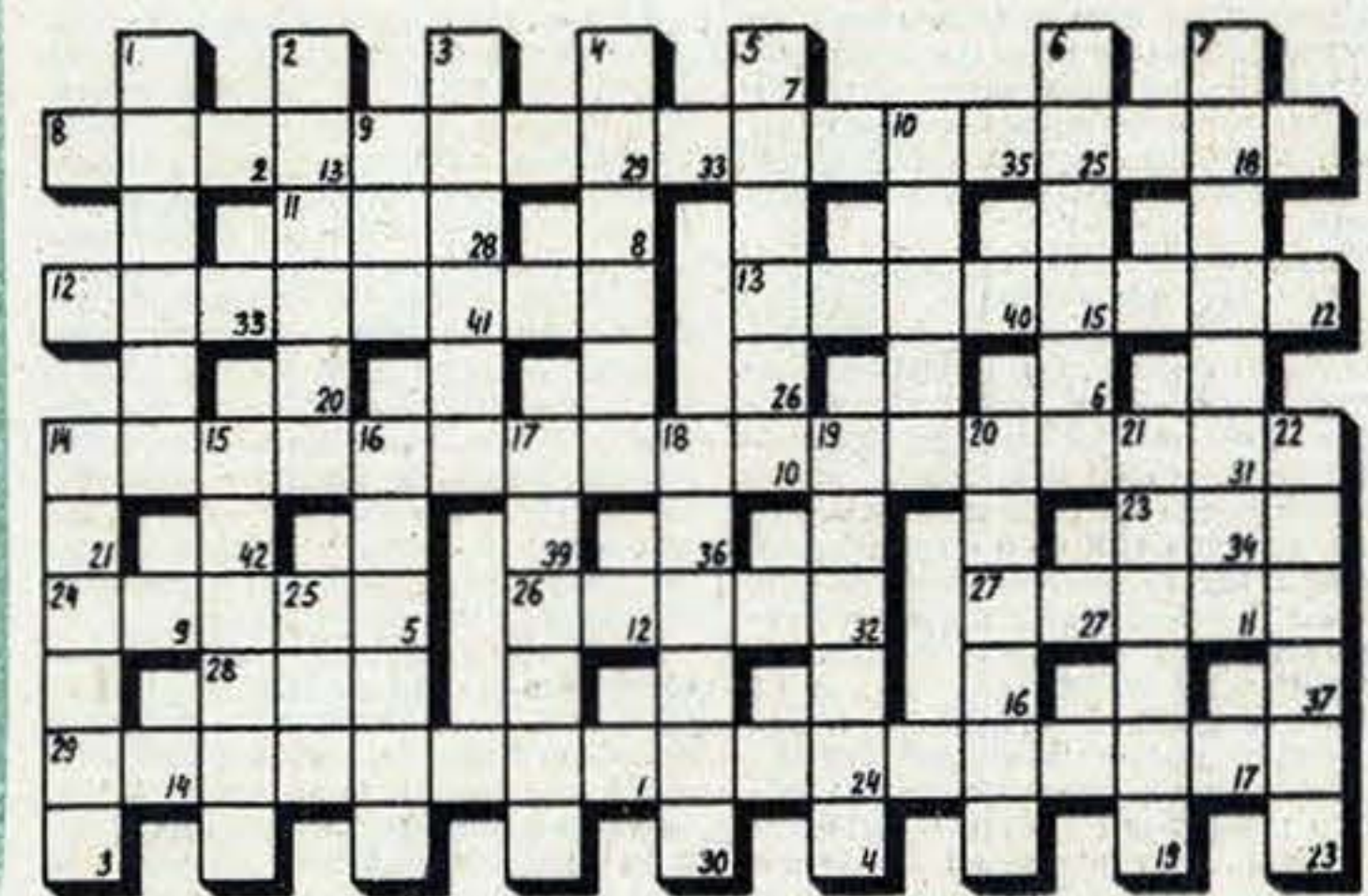
UZUPEŁNIENIE. Marek Arpad Ko-walski w publikacji „Ścieżka szybkie-go druku” („Przegląd Tygodniowy” nr 6) zajmuje się problemami wydawni-czymi, opierając swoje refleksje na wypowiedziach przedstawicieli naszych oficyn. O dorobku „Czytelnika” pi-sze: „Nie przyznał się do żadnej książki beletrystycznej na ścieżce, szybkiego druku, podając jedynie Mieczysława Rakowskiego: „Czas nadziei i rozczaro-wań” oraz Jerzego Urbana: „Poja-dynek” — obie po 4 miesiące.” W imię rzetelności informacji należy jednak dodać, iż w tymże „Czytelniku” uka-zała się powieść Michała Jagielly „Stu-dnia” na ścieżce super szybkiego dru-ku; maszynopis oddano do składania 26 III 1985 r. Podpisano do druku 21 VIII 1985 r. Druk ukończono we wrze-sniu 1985 r. Już w październiku ub. roku książka znalazła się w księgarni-ach. Takie uprzywilejowanie autora z jęzickiego „Przeglądu Powszechno-go” może jedynie wzbudzać zawiść.



nadodrze

Rozrywki umysłowe

Redaguje Zielonogórski Klub Szaradzystów

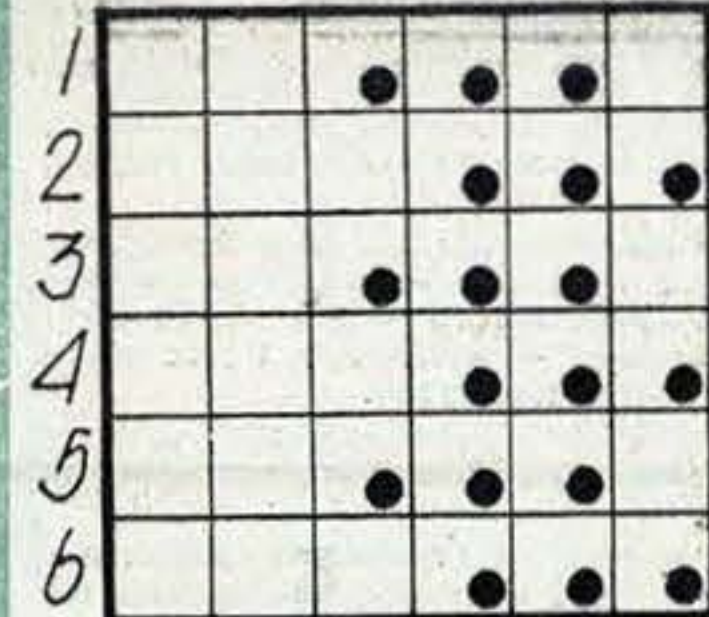


KRZYŻÓWKA Z HASŁEM
(Oprac.: „ŚLAWICZ”)

Litery z pol oznaczonych w prawym dolnym rogu od 1 do 42 utworzą rozwiązanie — przysłowie polskie.

Pozio: 1. Janusz Kusociński, 11. Węgierski poeta, modernista (1877-1919), 12. Zbijanie piłki w tenisie, 13. Zdobywca Bieguna Południowego, 14. Dziedzina wiedzy technicznej, 23. Sylabowa nazwa dźwięku „g”, 24. Wyznaje skrajnie lewicowe poglądy, 26. Aleja spacerowa, 27. Rodzaj przedmiotu jedwabnej, 28. „Skrzydło” szyku bojowego w starożytnym Rzymie, 29. Podważanie twierdzeń strony przeciwnej. Pionowo: 1. Podziemny rośliny, 3. Miejsce zwycięskiej bitwy wojsk gen. I. Prądzynskiego w 1831 r., 3. Macierzysty port „Daru Młodzieży”, 4. Dawny przeorysz, przełożona klasztoru żeńskiego, 5. Zbębny cieciar, 6. Ma imieniny 12 września, 7. Wiek-zy od lunety, 9. Druga żona Mieszka I, 10. Działacz emigracyjny, w 1892 r. założył pierwsze polskie pismo w Ameryce Półd. — „Gazeta Polska” w Brazylii, 14. Telegraficz-na sieć abonencka, 15. Kraje Bliskiego Wschodu, 16. Hyeel, 17. Naprawa dachy, 18. Karabinu przy strzale, 19. Naramiennik z frezami, 20. Zwolennik Jana Husa, 21. Pisarz kolumbijski (1837-95), powieść „Maria”, 22. Członek ludu germańskiego osiadłego w III w. nad Menem, 25. Między sopranem a tenorem w chorze.

LOGOGRAF
(Oprac.: „SPATY”)



W poziomie kolumny diagramu należy wpisać 6 wyrazów sześcioliterowych wed-lug odgadniętych znaczeń. Litery w po-lach oznaczonych czytane kolejno rzęda-mi poziomymi dadzą rozwiązanie.

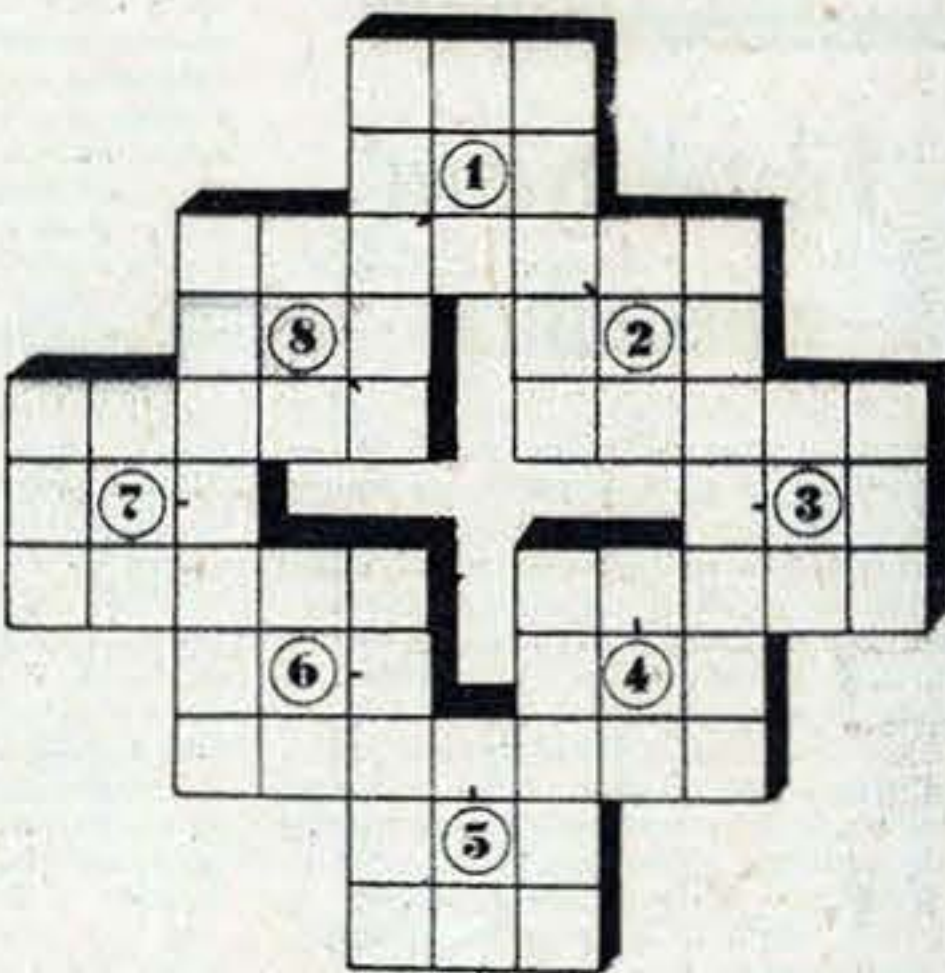
Znaczenie wyrazów:

1. Miasto w Szwecji nad jez. Wetter.
2. Kraje wschodnie, Wschód.
3. Matka Apollina i Artemidy w mitologii greckiej.
4. Rodzaj suchej kiełbasy, często z mięsa oślego.
5. Znak, znamie.
6. Przeciwnieństwo smutku.

WIROWKA
TEMATYCZNA
(Oprac.: „STANGAR”)

Odgadnij wyrazy wpi-sane zegarowo do diag-ra-mu. Początek wpisywania zaznaczony strzałką.

1. Grecka bogini miłości i piękności, 2. Syn Lykoo-na, założyciel miasta Tra-pezun, 3. Syn Nerona Klaudiusza Drususa, bratanek Tyberiusza, 4. Uro-dzony w r. 83 p.n.e. adop-towany przez Cezara i wyznaczony na spadkobier-cę, zmarł w r. 14 n.e., 5. Król Tereus uwiodł ją, a chcąc zataić swą zdradę przed żoną, uciął kochan-ce język, 6. Muza poezji epickiej, 7. Władca mórz, którego atrybutem był trójząb, 8. Wnuk Hamilka-ra, dowódca wojsk karta-gińskich w z. 409.



ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR 3:

Krzyżówka

Pozio: pieprz, Nestor, Junosza, koliba, dragon, wis, diorama, tal, bażeta, Wonder, Czepiec, Lukasz, noc, obakus, Atlas, łącznik, koncert, tetra, January, Rzeszów, wykop, Apaczka, apaszka, Pienow: liowa, Pienka, zjadacz, indolent, warszawca, nadawca, szklina, Opole, ile, gad, bałajka, resztówka, Polityka, kuchnia, sandacz, bandera, kleszcz, aktywa, skarpa.

Kalambur kolowy — wapakowy: „masakra”

Mała krzyżówka

Pozio: dziesięciobój, wielochodówka, Pienow: szpik, Teela, cietrz, Acton, sokół, cór-ka.

Nagrody książkowe wylosowali: PAWEŁ GOLEBIEWSKI z Zielonej Góry (za roz-wiązanie trzech zadań) oraz GRAŻYNA LOSIŃSKA z Wałbrzyska i TERESA MI-CHALIK z Białegostoku. Gratulujemy. Nagrody wysłamy pocztą.

Rozwiązania zadań prosimy nadsyłać pod adres redakcji w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru. Listy z rozwiązaniami trzech zadań wezmą udział w losowaniu nagrody książkowej wartości około 250 zł. Czytelnicy, którzy w tym losowaniu nie be-dą mieli szczęścia wezmą udział — razem z tymi, którzy rozwiązali dwa zadania — w losowaniu dwóch nagród książkowych po ok. 150 zł. Na kopercie z rozwiązaniami należy nakleić zamieszczony powyżej kupon z zaznaczeniem ilości odpowiedzi.

McRGINAŁKI

NOWE NAZWISKO LUBUSKIEJ LI-TERATURY? Zygmunt Trziszka, ex — Lubuszanie, snuje na łamach „Tygod-nika Kulturalnego” (nr 6) gorzka opo-wieść, związaną z lubuskim — srodowi-skim literackim, przywołując nieraz postać literata Tadeusza Kalwina. Czyżby nowa gwiazda piarska na srodokowym Nadodrzu. Prozaik, poeta, dramaturg?

NIEDOCENIONY. W „Pocztynionie li-terackim” („Fakty” nr 7) ciekawa ko-respondencja, nadesłana przez D.M. ze Strzelec Krajeńskich. Autor rubry-ki pisze m.in. „Przyznać ponadto mu-szę, iż pański li” jest zdumiewający. Czytam w nim m.in. — Przez takich jak Pan muszę zajmować się głupa-wymi konkursami poetyckimi i głupa-wo liczyć pieniądze a o pisaniu głu-pawych listów do Pana nie wspom-nie...”. Poczem autor „Faktów” lagod-nie perswadowa-je D.M. powinien nie przejmować się negatywnymi ocena-mi jego wierszy i kontynuować swą działalność konkursową. Nas natomiast zainteresowało co innego: co sądzi o tych „głupawych konkursach” jego uczestnicy — zielonogórzanie Czesław Sobkowiak, Waldemar Mystkowski i Czesław Markiewicz. Zwłaszcza poeta Sobkowiak, który niedawno właśnie w „Nadodrzu” pochlebnie pisał o strzeleckiej imprezie i jej organizato-rze pocie Dariuszu Muszerze... POECI POSZUFLADKOWANI. Spół-ka Leszin — Waskiewicz wypelnia swój czas ustalaniem generacji i poko-